ZOFIA SZYMANOWSKA



OPOWIEŚĆ O NASZYM DOMU

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA"

OPOWIEŚĆ O NASZYM DOMU

ZOFIA SZYMANOWSKA

OPOWIEŚĆ O NASZYM DOMU

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA"

WARSZAWA 1947

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ A. BOWBELSKI

E-C439

DRUKARNIA SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „WIEDZA“ NR 7 W GRUDZIĄDZU

W RÓŻOWY WIECZÓR...

W różowy wieczór mówiliśmy sobie z tobą, że Tymoszówka jest piękna.

Siedzieliśmy na wzgórzu na ławce ponad stawem.

Ten letni wieczór był jak złota harfa, której strunami były: łagodny, jednostajny brzęk komarów i czuły dwugłos zasłuchanych w siebie żab.

Stawy w dole migotały płynnym złotem.

Gdzieś z daleka, znad wody, dochodził miarowy stuk kijanki, a różanym powietrzem niósł się rozległy, czysty, piersiowy głos piorącej dziewczyny:

Oj zza hir, zza hir, wylitaje sokił...
A zza Dunaja wylitaje dwaaa...

Każda zwrotka pieśni kończyła się jakby jękiem urywanym na niskiej nucie, jakby zawodzeniem dzikim i uroczym.

Nad cerkwią otwierała się wśród chmur purpurowa brama, w którą wchodziło słońce. Jego ostatnie, potargane promienie rzucały złote błyski na chytrze nasuwające się ze wschodu fioletowe obłoki.

Obserwowaliśmy płynące po niebie okręty, smoki i dziwne ryby, których powiewne kształty rozpływały się miękko w chwili powstania.

Jutro będzie zapewne wiatr...

W ślad za obłokami podnosił się znad dalekiego lasu płaski, jak z papieru wycięty księżyc o zdziwionych oczach i szeroko otwartych ustach. Twarz jego miała wyraz żałosny i śmieszny.

Gama siedziała obok nas milcząca, solidarna i pełna taktu, i podniesionym pyszczkiem chwytała lekko wiatr w ruchliwe nozdrza. Zachód barwił na różowo jej białe futro, które wyglądało jak pióra kakadu, a brązowe oczy były tajemnicze i zapatrzone w nieznany nam świat.

— Tymoszówka jest piękna, powtórzyłeś, piękna, dobra i droga. I nie wiem, czy mógłbym rozstać się z nią na długo. Nie wiem, jak mógłbym z dala od niej żyć i pracować. Myślę, iż gdybym nie miał możności powrotu do niej co roku i pewności moralnego wypoczynku i spokojnej pracy przez trzy miesiące wakacyj w Tymoszówce, czułbym się jak człowiek, który musiałby wciąż pracować i być w ruchu, a nie miałby możności usnąć.

— Tak, to jest to właśnie, powtórzyłeś w zamyśleniu. Byłbym moralnie niewyspany.

W tej chwili myślałam to samo.

Milczeliśmy, patrząc w zachód ponad cerkiewkę, w którym migały ku nam uśmiechnięte błyskawice na pogodę, „zarnice", jak je u nas nazywano.

Milczeliśmy, chłonąc radość, a myśli nasze, rozległe i nieznużone, płynęły leniwie i pogodnie, jak lazurowe obłoki po wieczornym niebie.

Niebo było bezkresne — a świat wielki i daleki.

Dziś świat stoi przed nami otworem. Chodzimy po nim tu i tam. Jest nam lepiej, lub gorzej.

Lecz zgasło dalekie światło Tymoszówki, do którego powracaliśmy zawsze z gwarnych bezdroży świata — i do którego chcieliśmy powrócić o zmierzchu...

...Tymoszówki już nie ma.

PRZYJAZD

Latem owego roku powracałam do Tymoszówki z Karolem, zwanym w rodzinie Katotem.

Oczekiwał mnie w Salzburgu, dokąd z lekkim biciem serca przyjechałam sama z Genewy.

Bałam się trochę tej pierwszej samotnej podróży, ale byłam też z niej nieskończenie dumna.

Przy tym, co za radość odbyć dalszy ciąg drogi z Katotem. Pobyt z nim był zawsze świętem w moim szarym, szkolnym życiu. Nikt mi go tak nie umiał umilić i uczynić zajmującym, jak on.

W Salzburgu zatrzymaliśmy się krótko.

Toteż, zaledwie zdołałam obejrzeć miasto, urocze w swym naiwnym wieńcu zielonych gór, i wzruszyć się tragicznym losem Mozarta, gdy już pochłonął nas roześmiany, wiosenny Wiedeń.

Ach, jak tam było wesoło!

Katot opiekował się mną czarująco i niepedagogicznie. Toteż kładłam się spać prawie o świcie, jeździliśmy samochodem z lekkomyślną szybkością — a w Luna Parku na Praterze szaleliśmy i wypróbowaliśmy wszystkie zabawy, które się dały wypróbować — od „Luftschiffu", po którym omal nie zemdlałam z zawrotu głowy — do karuzeli włącznie.

Ku ogólnej radości dosiedliśmy najdroższych i najokazalszych rumaków. Katot szybował na lotnym łabędziu, obok niego Fitelberg, zwany Ficiem na domowy użytek,

na doskonale okrągłym pegazie, a ja w pięknej łodzi w stylu rokoko, różowej z białymi lukrowanymi ozdobami, która wyglądała jak nieświeże ciastko.

I oto, po oszałamiającym dla mnie pobycie w Wiedniu, terkoczące i zaaferowane austriackie wagony wyrzuciły nas na granicy i nie troszcząc się więcej o nas odjechały, aby się wysapać, na boczny tor, unosząc z sobą zapach cygar i dymu, zapach „zagranicy".

Otoczył nas tłum „artielszczików", tragarzy w białych fartuchach, z blaszanymi numerami na piersiach, a urzędnicy celni zabrali się leniwie do przeglądania naszych waliz.

Rewizja odbywała się dość powierzchownie, gdyż znali oni doskonale zamożnych obywateli ziemskich odjeżdżających jesienią i powracających wiosną, z zegarową punktualnością wędrownych ptaków. Przekonani też byli, nie zawsze słusznie, iż nie był to element wywrotowy.

Rewizja owiana była dla mnie zawsze literacką grozą. Tyle przecież wchłonęłam w siebie zabronionych w Rosji książek.

Jakież było moje przerażenie, gdy ujrzałam, że nie posiadam kluczyka od kufra. Zgubiłam go po prostu. Szukałam, przewracałam torebkę — na próżno.

Celnik spojrzał na mnie z uwagą. Ujrzał moją niekonspiracyjnie zmieszaną twarz i przerażone oczy. Uśmiechnąwszy się w brodę, postukał czerwonym palcem w wieko szkolnego kuferka:

— Ech barisznia, roztrzepana, roztrzepana — mruknął dobrodusznie. Po czym przykleił na kufrze znaczek papierowy, oznaczający ukończoną rewizję.

Teraz przyszła kolej na kurczę pieczone z „małosolnym" ogórkiem w obszernej, pachnącej dobrym jadłem restauracyjnej sali I klasy.

Na bufecie, ozdobionym palmami i barwionymi na czerwono miotłami sitowia, puszył się w blaszanych skrzyn-

kach świeży kawior, olśniewający jesiotr, skomplikowane przekąski, bateria wódek w różnokształtnych butelkach, oraz wczesne wiśnie i truskawki w osłonie z różowego muślinu.

Za bufetem stał okazały kucharz w białej czapie i znikał co chwila jak Pytia w obłokach pary, unoszących się z platerowanych półmisków i waz.

Było ciepło, cicho i zamożnie.

Od czasu do czasu w ospały spokój restauracyjnej sali wkraczał z peronu pełen godności portier w płaszczu z peleryną i potrząsając dzwonkiem huczał monotonnym basem:

— Pierwyj zwonok... wymieniając godziny odjazdu pociągów i odpowiednie stacje.

Wreszcie, w szeregu wykrzykiwanych stacyj, zabrzmiał najmilszy uchu dźwięk:

— Bobrinskaja... Znamenka...

Wstaliśmy szybko od stołu i poprzedzani przez tragarza weszliśmy do wagonu.

Jeszcze jedna formalność:

— Wasz paszportik... Po czym z grzecznym brzękiem ostróg pozostawiono nas samych w przedziale.

Teraz zajął się nami wygodny, szerokotorowy, miękko wyściełany rosyjski wagon.

Unosząc nas z sobą, puścił się z dworca ciężkim kłusem. Sapiąc i zacinając się, powtarzał zdyszany:

— Tymo... Tymo... Tymo... Tymo...

Po czym uchwyciwszy rytm, rozpędził się i mknął przez szeroki, pogodny, wygrzany letnim słońcem ukraiński krajobraz w srebrną nieskończoność żelaznych szyn. Kołysał nas miękko, nucąc nam do ucha jednostajnie i czule:

— Ty-mo-szów-ka, Ty-mo-szów-ka...

Poprawiliśmy walizy na siatce.

Katot położył na kolanach książkę, po czym charakterystycznym ruchem oparłszy twarz na dłoni, przymknął oczy. Myślał intensywnie. Widać to było po skupionym wyrazie twarzy i lekko marszczącego się chwilami czoła.

Może komponował. Może w monotonnym turkocie biegnących kół chwytał rozproszoną melodię. Może słyszał ją w jękliwym śpiewie telegraficznych słupów, które stały sztywno na brzegu drogi, zjawiały się na mgnienie i uciekały w przeszłość, powiązane z sobą na zawsze warkoczami zbiegających się i rozchodzących nieodmiennie drutów.

Przyglądałam się Katotowi w milczeniu, po czym wychyliłam się przez otwarte okno. Radość ściskała mi serce aż do bólu, a wesoły wiatr stepowy targał mnie przyjaźnie za włosy.

Bobrinskaja... Stąd już zaczynało się wszystko znane i dobre.

Jeszcze niewielki przystanek, Rajgród — i zaraz już Kamionka.

Mijamy pola rażąco złote od pszenicy i świetliście zielone od buraków cukrowych.

Wzdłuż szyn, pod bladym z upału niebem biegnie rów, przetykany dość gęsto szarą zielenią dzikich oliwek, dławiący się od nadmiaru dziewanny, cykorii i szczawiu.

Wreszcie występują z rzadka pierwsze domki Kamionki.

Rozpędzony pociąg przystaje na chwilę i wyrzuciwszy nas na peron zapomina już o nas i biegnie dalej po swych błękitnych, srebrem znaczonych drogach, a za nim biegną w nieskończoność szyny, gubiąc się w mgławej dali.

Daleki jest świat, w którym zniknął nasz pociąg. Lecz dla nas końcowym jego etapem jest ta malutka, na czerwono malowana stacyjka, zgubiona wśród bzów i akacyj, z której znana, bliska droga prowadzi nieomylnie — ku szczęściu.

PRZEZ MIASTECZKO...

Wysłano po nas na stację powóz, zaprzężony w Alego i Krasawca. Widać je przez okno poczekalni, jak dzwonią niecierpliwie kopytami o bruk, oganiając się od much. O, jest i Anton na koźle. Kochany Anton.

— Dzień dobry, Antonie. Jak się macie? Czy wszystko dobrze?

— Sława Bohu, po małeńku, odpowiada, witając się z uśmiechem.

Zza węgła wyskakuje ku nam z powitaniem Mordko Śląski o ponurej twarzy diabła z szopki. Lubi zarobić i lubi czasem naciągnąć, zresztą dobroduszny i jowialny. Gramoli się na kozioł i podwozimy go do odległego o trzy wiorsty miasteczka.

W przejeździe przez miasteczko witamy poczciwych, znanych od lat, kamiońskich Żydów.

Przed swym pięknym murowanym domkiem kłania się nam życzliwie kupiec leśny, jękliwy Menaszka Brodzki, który o każdy sążeń drzewa targuje się nieustępliwie i żałośnie i tym dorobił się już znacznej fortuny.

Mijamy szereg zaopatrzonych w kolejne numery sklepików, połączonych wspólnym jakby gankiem z daszkiem, wspartym na drewnianych słupkach.

Przed sklepikiem Nr 14 „pan Czternasty" i „pani Czternasta", u których kupujemy stale, witają nas miłym uśmiechem.

Kłania się nam już z daleka krawiec Starodubski, dla przyzwoitości zwany przez ciocię Myńcię panem Starodębskim, ojciec nieskończonej ilości dzieci.

— Wse, szczo bihajet w Kamenci, to moje, skarży się zwykle żałośnie.

Uśmiechają się do nas stary, zgięty wpół rymarz Aron i chytry Szloma liwerant.

Z miasteczka wypadamy wreszcie na szeroką drogę. Anton, odwracając się z kozła co chwila, opowiada nam swoje końskie sprawy.

— Ładne są źrebięta tego roku w stadninie.

— Robocza kobyła wcisnęła nogę pomiędzy deski zagrody i wyrwała sobie kawałek mięsa z pęciny. Przyjeżdża weterynarz Połtaweć, sypie jakiś proszek, ale to niewiele pomaga. (Trzeba będzie jeszcze dziś wieczorem zajrzeć na folwark.)

— Taras, chłopiec stajenny, nie chce się żenić z Teklą Hryćka Malowanego, bo jest uboga i nie ma nawet dwóch poduszek do wyprawy. Tekla płakała, a starsza pani zawołała Tarasa, robiła mu wymówki, a Tekli darowała dwie poduszki i jeszcze dała „hrosziw" na wyprawę — i będzie wesele po żniwach.

— A Werwa, taka pannuńciu dobra kobyłka pid werch, szczo Boże mij!

Zapadamy w senną, przedwieczorną ciszę, pachnącą zbożem, ziemią i niebem.

Oto już czernieją przed nami w zachodzącym słońcu dwa naprzeciw siebie stojące wiatraki, obracające się bez pośpiechu w ciepłym wietrze.

Za młynami pierwsze chaty wsi, białe jak zabawki w czerwieni wiśniowych sadów.

Ponury kundel, zwany przez nas „Szlafrokiem mamy" dla swego centkowanego owłosienia, oszczekuje nas z obowiązku, po czym powraca na dawne miejsce przed chatą i kłapie leniwie zębami na muchy.

Serce dzwoni mi głośno. Dojeżdżamy do bramy.

Na szosie bieleje nieruchoma, mała kupka śniegu. To Gama, która wszystko wie — i czeka.

Jęcząc, śmiejąc się i wijąc z oszalałej radości, gramoli się do powozu, przy czym Anton wstrzymuje pobłażliwie konie. Gama sadowi się na mych kolanach, liże nam twarz i ręce i — jękiem urywanym opowiadając o swej okrutnej tęsknocie — zajeżdża z nami przed ganek.

Ze wszystkich kątów wystrzelają jak pociski różnokolorowe psy i rzucają się na nas z radosnym szczekaniem.

Olbrzymi, rudy, płaszczący się obleśnie Poker, notoryczny złodziej i łakomczuch, który potrafi wyciągnąć chleb z gorącego pieca i który, gwoli rozrywki, zjadł kiedyś mój gumowy płaszcz, pozostawiwszy jedynie pasek i guziki.

Równie olbrzymi, najmilszy Dar, pies rasy św. Bernarda.

Brudnożółta Muszka, łobuz i włóczykij.

Bury Sirko, kundel poczciwy, pies niby łańcuchowy i niby zły. Ale spuszcza się go z łańcucha już w porze podwieczorku, „aby się nie męczył", jest więc dobroduszny, chociaż czujny — i pełen życzliwości dla ludzi.

Ostatni wita nas czule, lecz z pełną godności rezerwą, mąż Gamy, puszysty Scherzo-medalista.

Na hałas, wyczyniany przez psy, wybiega w uśmiechach kochany lokaj Zacharko, za nim Ostap, chłopiec kredensowy, a po chwili ściągają z różnych kątów domu i ogrodu, z tenisowego placu, znad stawu, od gospodarstwa i z sadu, tymoszowieccy domownicy i stali goście: Mama, Felcio, Felo Zbyszewski, Nula, Stasia, ciocia Myńcia i ciocia Hela, Nulka i Michał Kruszyńscy — a z nimi goście sezonowi, przyjeżdżający na tydzień lub dwa, a pozostający zwykle dłużej.

Było ich wielu, lecz dom tymoszowiecki mógł ich pomieścić zawsze jeszcze więcej.

Radośni i beztroscy nurzaliśmy się w gorący nurt pogodnego lata.

DOM

Dom tymoszowiecki był wielki i trochę mroczny.

Szeroki korytarz ciągnął się jak kręgosłup przez całą długość domu.

Na lewo znajdował się sypialny pokój Nuli. Obok sala jadalna, pełna starych pamiątek i portretów rodzinnych. Za nią okrągła biblioteka i duży salon o pięciu oknach, ze starym inkrustowanym kominkiem, w którym jesienią trzaskały wesoło brzostowe polana.

Na prawo od wejścia znajdował się gabinet Felcia, za nim pokój cioci Myńci, następnie śpiżarnia, kredens, sypialny pokój mamy, mój i Katota, a na samym końcu domu sypialny pokój Felcia z balkonem.

Dom był parterowy, z jasnym dachem, z jednej strony otoczony lipami, z drugiej osłaniały go również lipy i dwa stare orzechowe drzewa, osypane owocem co roku.

Przez całą prawie długość domu, od zachodniej strony, ciągnęła się biała weranda, gęsto dzikim winem obrosła.

Okna były duże i jasne, zwłaszcza gdy liście opadły, gdyż latem ocieniały je gęsto orzechy i lipy.

Dom był pełen starych mebli, sprowadzonych z willi w Szwajcarii, którą dziad Oswald Korwin-Szymanowski, wraz z kolekcją pięknych pamiątek, zapisał w testamencie papie, gdyż papę kochał dziad najwięcej ze wszystkich synowców.

Papa, sprzedawszy willę, spłacił pominiętych przez dziada braci, a zbiory i meble przewiózł do Tymoszówki.

W starym, rzeźbionym gdańskim kredensie, otwieranym ćwierćmetrowym kluczem, i w równie starej, rzeźbionej cechowej skrzyni spoczywały sobie bezpiecznie „pamiątki".

Pamiętam emocje, które przeżywałam w dzieciństwie, gdy z rzadka otwierano kredens i skrzynię, aby pokazać ich zawartość zaciekawionym gościom.

Były tam: puginał i róg z kości słoniowej i czapla kita ze spinką króla Jana Sobieskiego. Był zbiór cennych autografów i pióro gęsie Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. Była kolekcja tabakierek i sygnetów. Były na wielkich pergaminach nadania na urzędy Korwin-Szymanowskich, z własnoręcznymi podpisami i pieczęciami królów: Władysława IV, Augusta Mocnego i Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Był zbiór kosztownych pistoletów i szabel i buława hetmańska z wielkim topazem w głowicy.

Była historyczna zbroja kirasjerska z końskim ogonem na hełmie, w którą ubierałam się czasem, ale ustać nie mogłam pod ciężarem pancerza i hełmu, zakrywającego mi twarz.

Były stare serwisy i puchary.

Była odwieczna, mahoniowa pozytywka z mosiężnym wałkiem w środku, która metalowymi ząbkami wygrywała na wałku sześć staroświeckich piosenek. Najładniejsza była dla mnie aryjka zatytułowana „C'est ma corvette leste et coquette". Dziś jeszcze pamiętam dokładnie jej melodię, drżącą, delikatną i pełną srebrnych koloraturek.

Patrzyłam na to wszystko z zapartym tchem i do każdego przedmiotu dołączałam na swój użytek jakąś bohaterską lub romantyczną historię.

Lubiłam też zaszyć się ze świecą w ręku w którejś z wielkich szaf bibliotecznych.

Były tam również rzeczy ciekawe i cenne.

Stare druki na pergaminach z XVI i XVII wieku.

Oprawiony komplet numerów gazety francuskiej (nie pamiętam dziś jej nazwy) od roku 1814 do 1821.

To lubiłam najbardziej. Z jakimże wzruszeniem wczytywałam się w drobny druk numerów, który mówił o „l'Empereur". Tak go zawsze nazywała w jego wielkiej niedoli pełna nięgasnącego zapału i podziwu gazeta.

Pradziad Józef Korwin-Szymanowski był generałem napoleońskim i on to zapewne zbierał z pietyzmem i oprawić kazał numery gazety.

W rodzinie Felcio i ja kochaliśmy Napoleona najgoręcej. Kochaliśmy go z bezkrytyczną czułością.

I dziś jeszcze nie mogę myśleć bez wzruszenia o tej żałosnej gazecie — i o gasnącej gwieździe wielkiego Empereura — i o jego tragicznym powrocie, który wieściły z rozpaczliwą nadzieją drobno zadrukowane szpalty.

I tak bardzo mi żal, że starej gazety już nie ma...

W sali jadalnej stał dębowy stół i krzesła rzeźbione, na prostych, rozchylonych nogach, kryte safianem o dyskretnie barwnych deseniach.

W sali wisiały portrety.

W dzieciństwie bałam się ich bardzo i nie lubiłam pozostawać z nimi sama, gdy zbliżał się wieczór.

Byli tam biskup i prałat, piękne młode damy o białych, szerokich dekoltach i najstarszy, znany nam z portretu pradziad — Maciej Korwin-Szymanowski, kasztelan rawski, poseł do Rzymu z ramienia króla Władysława IV.

Był to ponury pan o błękitnych oczach pod ciemnymi brwiami, w delii i futrzanej czapie z kitą.

Jakież było moje wzruszenie, gdy razu pewnego, wygramoliwszy się na krzesło, uniosłam z trudem portret

i znalazłam na odwrocie: rok 1634. A więc czasy Wołodyjowskiego i Kmicica.

Może znał ich kasztelan rawski? Może gdzieś, na jednym z warszawskich sejmów mignął mu czerwony dragoński mundur małego rycerza?

Zdziwiłby się dumny kasztelan, gdyby ujrzał oczyma duszy, jak po latach prawie trzystu potomek jego, brzdąc dwunastoletni, stać będzie na krześle pod sczerniałym jego portretem i pytać będzie z bijącym sercem — nie o jego majątki i tytuły — lecz o to, czy znał on, wielki pan, małego, skromnego żołnierza w czerwonym dragońskim mundurze.

Gdy słońce, żarzące się jeszcze na zachodzie, usuwało się ze ścian jadalnej sali — groźnym zasnuwał się cieniem portret starego pana — a w glorii ostatnich czerwonych promieni stawał na chwilę Józef Korwin-Szymanowski, poeta, szambelan dworu Stanisława Augusta.

Był on łagodny i pełen czaru. Drwiący uśmiech błąkał się na subtelnych ustach i tak pięknie odbijały od białej peruki gładkie łuki ciemnych brwi nad błękitnymi oczyma.

Kochałam tego pradziada i nie bałam się go zupełnie. Stałam nieraz długie minuty nieruchomo przed jego portretem i snułam o nim romantyczną bajkę, dopóki słońce nie zaszło zupełnie.

Wówczas gasła, jak zdmuchnięta świeca, łagodna twarz uroczego pradziada, a w gęstniejącym zmierzchu patrzyły na mnie z uwagą mądre, przenikliwe oczy prababki Szymanowskiej, żony generała, oczy, przed którymi skryć się nie mogłam, gdyż obracały się za mną wszędzie, głębokie i ciemne.

Lęk wtedy ogarniał mnie nagły i z bijącym sercem wychodziłam z milczącej sali, którą obejmowała we władanie mroczna, tajemnicza godzina nadchodzącej nocy.

DUCHY

Kochany dom tymoszowiecki w nocy nabierał nieokreślonej grozy. Bałam się go od dzieciństwa i nie było ani jednego właściwie pokoju, gdziebym się nie obawiała spać sama. Nawet mój błękitny pokoik stawał mi się w ciszy nocnej obcy i niesamowity.

Mieszkałam w nim z Gamą, która też nie lubiła pozostawać w nim sama i biegła za mną, gdy tylko na chwilę wychodziłam z pokoju.

Pamiętam nieraz, gdy już bardzo bałam się nocy, otwierałam szeroko okno od ogrodu. Stamtąd szedł ku mnie ufny spokój w postaci stróża nocnego, dida Iwana, który co jakiś czas okrążał dom, dudniąc ciężko grubymi butami.

Ach, jakaż ogarniała mnie radość, gdy usłyszałam wreszcie upragniony stuk jego kołatki i charakterystyczne chrząkanie. Wówczas odwracałam się do ściany i znękana strachem usypiałam wreszcie.

Nie słyszałam wówczas stuku, brzęków i westchnień, które zapewne napełniały dom nocą.

Słyszeliśmy jednak wiele rzeczy.

Co dzień około północy odzywało się miarowe, trzykrotne pukanie w okno w pokoju Nuli. Słuchaliśmy go bez lęku, bo przywykliśmy już do niego.

Kiedyś z Nulką Kruszyńską, przysłoniwszy światło, schowałyśmy się za firankę, chcąc ujrzeć to „coś" koniecznie. Za oknem nie było widać nikogo, a „to" pukało.

Pewnej jesiennej nocy Nulę obudził nagle ze snu dziki hałas w sąsiadującej z jej pokojem sali. Ciężkie meble przesuwały się z trzaskiem po pokoju i uderzały z zewnątrz o jej drzwi tak, iż te dygotały w zawiasach.

Nula długą chwilę słuchała zdziwiona, po czym zapaliła świecę, sądząc, że to już ranek i chłopiec kredensowy sprząta, z niezwykłym dziś hałasem, jadalną salę.

Spojrzawszy na zegarek, zdrętwiała z przerażenia. Była druga po północy!

Leżała bez ruchu, z uczuciem dławiącej trwogi, czekając, aż się wszystko uciszy. Wówczas wstała cicho i poszła do kredensu, gdzie spał w alkowie lokaj Zacharko.

Zbudziła go i poszli oboje do jadalni. Meble stały na swoim miejscu i nie było śladu jakiegokolwiek nieładu.

W jadalnej sali wisiał odwieczny zegar hebanowy o srebrnym, wypukło rzeźbionym cyferblacie.

Wisiał wysoko pod sufitem i nikt nigdy go nie nakręcał. Był on na głucho zamknięty od lat wielu.

W pewien zimowy wieczór siedzieliśmy przy stole w jadalni.

Wisząca lampa paliła się jasno, a my gawędziliśmy i śmialiśmy się głośno.

Nagle drgnęliśmy wszyscy i spojrzeliśmy w górę. Oto z niesamowicie głośnym brzękiem otworzył się na oścież stary zegar.

Ogarnął nas niemiły nastrój. Felo Zbyszewski spojrzał na zegarek, który miał na ręku:

— Jest bez kwadransa jedenasta, chodźmy spać, doradził.

Nazajutrz przyleciał konny posłaniec z Kosary z wiadomością, iż tegoż wieczoru i o tej godzinie, którą obwieścił nam stary zegar, umarła ciocia Walunia Rościszewska, bardzo nam bliska i miła.

Kiedyś w nocy ktoś wziął głośny akord na fortepianie

Innego znów wieczoru huk potężny rozległ się na strychu, tak iż wszyscy w trwodze wybiegli ze swych pokojów.

I dziwy opowiadał did Iwan, który w noce zimowe, gdy byliśmy w mieście, obchodził opustoszały dom, „o starym panu", który w wielkim salonie „hraje" nieraz na fortepianie.

Nikt nie stwierdził prawdziwości mętnych i efektownych opowieści dida Iwana, ale nocami wędrowała po domu trwoga w swych bezgłośnych sandałach i panoszyły się w nim duchy. Nie widziano ich nigdy, ale były potężne i niełaskawe — i drżano przed nimi.

Dziś, gdy leżę z książką w ręku na modnym tapczanie, w jasnym miejskim pokoju, w zuchwałym świetle elektrycznej lampy, gdy za oknem huczy obojętny tramwaj, a wszystko jest głośne, brukowane i szare — myślę nieraz z odcieniem żalu o bezdomnych duchach tymoszowieckiego dworu, których tak bałam się niegdyś, a które gdzieś daleko, w zimną, szumiącą wiatrem noc, trwożnie błąkają się w pustce — nie mając gdzie złożyć głowy...

DZIECI

Madzia Nowicka przyjechała do nas, gdy byłyśmy obie małe.

Od tej pory nie rozłączałyśmy się przez dość długi czas. Wspólnie uczyłyśmy się z babunią, wspólnie bawiłyśmy się, a na imieniny papy lub na święta, grałyśmy wspólnie francuskie dialogi pod kierownictwem panny Clémence.

Madzia miała okrągłą twarzyczkę o łatwych rumieńcach, sprytne oczy i jasne włosy, splecione mocno w warkoczyk związany niebieską wstążką.

Lubiła mi imponować, co zresztą udawało się jej w zupełności, opowiadała bowiem tak dużo i tak często o Lipowcu, w którym przedtem mieszkała, iż ten Lipowiec zjawiał mi się w dalekim blasku wyśnionego raju — i marzyłam o tym skrycie, aby zobaczyć na własne oczy domek, w którym Madzia mieszkała, babunię Teklę i babunię Sabinę — i brać udział w jej niezrównanych zabawach ze znajomymi dziećmi.

Madzia, złośliwa z natury, lubiła drażnić się ze mną i nikt, tak jak ona, nie potrafił doprowadzić mnie do gorącej dziecięcej złości.

Wynikiem tego bywały często bijatyki z Madzią, a następstwem — niezbyt ciężka i niezbyt chętnie nakładana przez pannę Clémence kara.

Stałam wówczas dziesięć minut „na pokucie" za drzwiami pokoju panny Clémence, pod pręgierzem współczujących spojrzeń Bazylego i Mikoły lokajczuka, prze-

chodzących korytarzem, a Madzia, czerwona i potargana po świeżej bójce, przeżywała w cichości ducha samotny triumf swego Pyrrhusowego zwycięstwa.

Michał i Nulka Kruszyńscy nie uczyli się z nami, spotykaliśmy się jednak przy wspólnych zabawach w ogrodzie i w korytarzu tymoszowieckiego domu, który napełnialiśmy tupotem i bieganiną.

Nulka była natury sentymentalnej. Kochała Tymoszówkę i Ukrainę i nieraz wędrowała samotnie po ogrodzie, markując taneczny krok kozaczka i nucąc ukraińskie pieśni, których umiała wiele.

Gdy byłyśmy trochę starsze, a Michał, odłączywszy się od nas, chadzał własnymi młodzieńczymi drogami, trzymałyśmy się z Nulką razem. Zwierzałyśmy sobie solidarnie nasze dziewczęce triumfy i sentymenty. Jeździłyśmy biedką na pocztę, a czasem ogarniał nas szał eksploracyjny. Brałyśmy wówczas paczkę zapasów ze śpiżarni i nic nie mówiąc nikomu wymykałyśmy się w pola i wędrowałyśmy bez celu i kierunku, w beztroskim poczuciu przestrzeni i swobody.

A czasem, złożywszy zapasy na trawie, w szale bezprzedmiotowej radości staczałyśmy się z góry na dół po łagodnej pochyłości głębokiego jaru, znajdującego się za folwarkiem zwanym „tokiem".

Michał był to chudy, długonogi wyrostek, samodzielny i nieokiełznany. Przyjaźnił się z Józiem, synem ogrodnika Grajbera.

W gęstych zaroślach tymoszowieckiego ogrodu zbudowali sobie z Józiem wigwam indyjski, noszący wykwintne miano „Helenin". Był on pełen łuków, strzał, proc i kawonów, których pochłaniali mnóstwo, gęsto zasiewając skórkami i pestkami okolice Helenina.

Mój wigwam, znacznie skromniejszy i mniej zaopatrzony, znajdował się w sąsiedztwie. Zresztą, tak jak i Mi-

chał, chodziłam z łukiem na plecach, i po przeczytaniu skróconej „Trylogii" marzyłam nawet o własnym „czambuliku".

Można było przyjaźnić się z Michałem, o ile był w pogodnym nastroju.

Gdy wpadał w gniew, wyciągał chudą pięść i z furią wywijał nią wokół siebie. Nie było do niego dostępu. Można go było chyba ustrzelić z łuku na odległość, gdyż wszelki ręczny bój był z nim wówczas niemożliwy.

Przyjaźń nasza z Michałem była surowa i dość solidarna. Michał bił mnie czasem, po czym godziliśmy się szybko. Wspólnie strzelaliśmy z łuku i procy do celu i brodziliśmy po kolana w płytkiej przybrzeżnej wodzie tymoszowieckiego stawu.

Pewnego dnia oznajmiłam nawet mamie, naradzającej się z Grajberem w ogrodzie, iż mam zamiar wyjść za Michała i założyć własne gospodarstwo, na co Grajber, który miał zapewne porachunki z Michałem za jakąś szkodę wyrządzoną w ogrodzie, żując jak zwykle listek bzu, wtrącił z dramatyczną ironią:

— Oj, nażyjesz się ty szczęścia za tym urwiszem.

Do nas dzieci mówił bowiem zawsze po imieniu.

Nasz projekt małżeński, oparty jedynie na trzeźwym wyrachowaniu i pewnej wspólności interesów, upadł zresztą wkrótce i tego samego wieczoru walczyliśmy już z sobą zawzięcie.

Jeździliśmy też z Michałem i służącym Bazylim na konne spacery w pola, przy czym ja dosiadałam mego zgryźliwego kuca Rosia, wyprowadzanego stale z równowagi towarzystwem dzieci, które miał w pogardzie.

Gdy przynosiłam mu chleb do stajni, wyrywał mi go żarłocznie z ręki i w chwilę potem odwracał się bez podziękowania, z wrogą obojętnością.

Po alejach ogrodu wolno mi było jeździć na kucu samej.

Michał podawał wówczas fantastyczny projekt bawienia się w „zasadzkę Indian na białych". Ja miałam być „bladą twarzą", a on „Sokolim Okiem", który mnie napada, zwycięża i skalpuje.

Niesyta wrażeń, godziłam się na to bez zastrzeżeń, po czym spokojnym truchcikiem opasłego Rosia wjeżdżałam w aleję biegnącą nad stawem.

Nagle, na górnych tarasach ogrodu zjawiał się Michał, przerażający jak zły sen. Twarz jego była umalowana na czarno. Na głowie tkwił wieniec z indyczych piór, na plecach powiewał kolorowy szal.

Z wrzaskiem wojennym wodza Indian, z szybkością pająka zsuwał się z tarasów wprost na oszalałego z przerażenia kuca, który wierzgnąwszy tylnymi nogami, zrzucał mnie z siebie błyskawicznie i pomykał na przełaj ku stajni, aby tam w chłodnym półmroku i ciszy ochłonąć trochę i przyjść do równowagi po przebytych wrażeniach.

Byłam naprawdę „bladą twarzą", gdy stoczywszy się jak piłka na najniższy taras ogrodu siedziałam skulona i potłuczona na ziemi i wyjmowałam źdźbła trawy i liście z poplątanych włosów.

Michał uczył się podówczas w szkole w Chyrowie i zanim zdecydował się ostatecznie na zawód indyjskiego wodza, marzył przez czas krótki o wybitnej karierze kardynała. Czasem, z rzadka, ogarniał go więc nastrój nabożny.

Wkładał wówczas na ubranie białą nocną koszulę, a na to kolorowy ręcznik w zastępstwie stuły i nie opuszczając ani jednej inwokacji, odprawiał mszę w narożnym pokoju.

Ja byłam ministrantem. Służyłam do mszy z przejęciem. Gdy zaś zapomniałam zadzwonić w porę, spod sacerdotalnej komży wysuwała się ostrzegawczo chuda noga w mocno wysłużonym szkolnym bucie — i wymierzała mi twardego kopniaka w bok.

Czasem wyruszaliśmy we dwoje „bryczuszką" w pole. Gawędziliśmy w najlepszej zgodzie, a zrezygnowany Roś dreptał niechętnym truchcikiem, skubiąc tu i ówdzie pęczek złocącego się owsa z przydrożnego łanu.

Czasem, po gorętszej dyskusji, powracaliśmy w nastroju wojowniczym, i oddawszy w stajni bryczkę i kuca staczaliśmy z sobą milczący bój, przy czym strona zwyciężona, to jest ja, zachowywała o wypadku dumne milczenie, uważając „skarżenie się" za babską i niegodną mnie słabość.

Dziś tkwimy każde z osobna na wyznaczonym nam przez los skrawku świata — i staczamy twarde walki z życiem.

Lecz nie przyświeca im pogodne słońce Tymoszówki — i nie wystarcza już dla ich odparcia chuda, chłopięca pięść Michała i moje zawzięte, solidarne milczenie.

PAPA

Gdy papa był młody, miał marzenia górne i chmurne.

Ukończywszy szkoły w Kijowie, postanowił wyjechać za granicę, aby się kształcić w naukach ścisłych, o których marzył zawsze.

Gdy miał już paszport zagraniczny w kieszeni, dziad jego zapisał mu testamentem Tymoszówkę z poleceniem, aby osiadł na roli i zabrał się do ratowania zadłużonego majątku.

Papa nie zawahał się ani chwili. Porzucił dalekie swe plany i zacisnąwszy zęby zabrał się do pracy z mamą, która była młoda i piękna. — Kochali się oboje najmocniej i najwierniej i pracowali z radosną pogodą.

W niedługim też czasie majątek został oczyszczony z długów i odzyskał uprzednią wydajność.

W wolnych chwilach papa oddawał się muzyce, do której miał wielki talent i zamiłowanie.

Grał doskonale i uznawał tylko muzykę najlepszą. Grywał z dziećmi na cztery ręce Beethovena i Mozarta, dawał im najtrafniejsze wskazówki i od dzieciństwa wyrabiał w nich smak muzyczny. Toteż zła muzyka nie miała dostępu do tymoszowieckiego domu.

Papa miał przy tym zawsze czas, aby się kształcić samemu w swych ukochanych naukach ścisłych. Dzień, zdawało się, rozciągał się dla niego umyślnie, tyle mógł w nim pomieścić nauki i pracy.

Szedł zawsze z postępem i trzymał rękę na pulsie życia. Sprowadzał najnowsze książki i pisma polskie i zagraniczne, które czytano i o których rozprawiano zawzięcie.

Zwyczaj ten utrzymał się w Tymoszówce i później. Toteż okrągły stół w bibliotece założony był pismami i gazetami. Książki też mieliśmy zawsze najnowsze, sprowadzane z zagranicy i Warszawy lub zdobywane drogą wymiany z sąsiadami.

Rozległy i chłonący wiedzę umysł papy obejmował wszystkie chyba dziedziny życia. Interesował się papa astronomią, a specjalizował się w meteorologii, którą to wiedzę posiadał gruntownie. Zbudował nawet aparat własnego pomysłu, przy pomocy którego robił meteorologiczne obserwacje.

Ukończywszy pracę dzienną przy gospodarstwie, oddawał się papa z rozkoszą swym studiom i obserwacjom w towarzystwie zaciekawionych dzieci, które dreptały za nim, wsłuchane w jego obszerne, dostępnie podane objaśnienia.

W specjalnie na ten cel zbudowanej stacji doświadczalnej miał papa swe przyrządy meteorologiczne, wielką ilość barometrów i termometrów, według których notował swe spostrzeżenia.

W jego nieobecności wykonywał te czynności stary ekonom Marcinowski.

Kręcąc się przy termometrach lub notując obserwacje meteorologiczne, zwierzał się mamie:

— Ja sam nie wiem, proszę pani, czy ja astronom, czy ja ekonom.

Stary gderał bez goryczy, gdyż był ogromnie do papy przywiązany.

Kochali papę zresztą wszyscy: służba i oficjaliści, swoi i obcy.

Miał urok głębokiej dobroci, dowcipu i pogody. Był przy tym po profesorsku roztargniony. Popełniał zabawne gaffy, z których śmiano się dobrodusznie, gdyż nie podobna było obrazić się na papę. Każdy nieodwołalnie ulegał jego czarowi.

Papa, z dzieciństwa swego mający gorące wspomnienia z powstania, był wielkim patriotą i Tymoszówka, ten skrawek ziemi zgubiony wśród dalekiej kozaczyzny, była kwitnącą wysepką polskości w szumiącym morzu pszenicznej Ukrainy.

Polacy, mieszkający na zapadłych kresach, odsunięci od Polski, jej idei i poczynań, profesorowie gimnazjum, urzędnicy i oficerowie, w ciągłym obcowaniu z Rosjanami, z bólem i wstydem zatracający nawet czystość swego języka, w domu naszym z radością odnajdywali swą polskość. Papa uświadamiał ich i polszczył jakoś niechcący, bez wysiłku, nie narzucając nikomu swego zdania. Kochali papę po prostu i chcieli być do niego podobni.

Do bliskich przyjaciół papy należał, między innymi, kapitan Żeligowski, późniejszy generał i minister spraw wojskowych w wolnej Polsce.

Lubiano go bardzo w naszym domu. I on całą duszą tęsknił do polskości i był częstym u nas gościem.

Był i pan Pietruszewski, profesor gimnazjum, syn Rosjanina, zawziętego polakożercy.

W obcowaniu z naszym domem spolszczył się zupełnie, co więcej, nie lubił swych rodaków.

Latem przyjeżdżał czasem do Tymoszówki.

Zajadając na werandzie zsiadłe mleko, które czepiało się uparcie jego rozłożystej rosyjskiej brody, gawędził z papą z zapałem, przy czym mówił zupełnie poprawnie, choć powoli, po polsku, unikając starannie rosyjskich zwrotów.

Wiele czasu poświęcał papa wychowaniu i kształceniu dzieci. Był pełen młodości i życia. Uczył się z dziećmi i bawił się z nimi. Urządzano nieraz teatry amatorskie, w których papa brał czynny udział i był jednym z lepszych aktorów.

Pod opieką i kierownictwem papy nauka przychodziła dzieciom z łatwością. Na każde dziecinne zapytanie odpowiadał z namysłem i powagą, przy czym rzecz każdą ujmował głęboko i rozstrzygał najrozumniej.

Nienawidził samochwalstwa, głupoty i zarozumiałości. Był sam pełen prostoty. Nie lubił imponować nikomu i jemu też zaimponować nie było łatwo.

Ludziom czynił dobro. Odpłacano mu często wdzięcznością, rzadziej obojętnością. Lecz papa na wdzięczność nie liczył, o niewdzięczności wiedzieć nie chciał, głosząc zasadę, iż „lepiej jest uczynić dobrze dziewięćdziesięciu dziewięciu, którzy na to nie zasługują, niż pominąć jednego, który by dobroci potrzebował".

Szedł nieomylnie drogą prostą i jasną i wiele miejsca zajmował w życiu, sam o tym nie wiedząc — i w wielu sercach ludzkich wielką pozostawił pustkę odchodząc.

Taki był nasz papa.

SŁUDZY

Gdy obejrzę się poza siebie w dal tak słoneczną, iż od jej blasku łzami zachodzą oczy — przesuwa się ich przede mną cały szereg — związanych z nami na dolę i niedolę, oddanych bez zastrzeżeń, służbiście poufałych, kochanych i wiernych.

Więc:

Nierozłącznie z dzieciństwem naszym związany, Grajber ogrodnik. Przybył do nas z majątku dziada Karola Taube, ojca mamy — i nie rozstał się już z nami nigdy.

Mieszkał z rodziną w małym domku na końcu ogrodu.

Był surowy i trochę groźny, nie skarżył na nas jednak nigdy przed mamą, gdy oberwaliśmy mu brzoskwinie lub czereśnie w ogrodzie.

A gdy umarł na tyfus, płakał po nim dom tymoszowiecki, jak po kimś najbliższym.

I stary służący Bazyli.

Gdy spodziewaliśmy się gości, Bazyli z wielkiego wzruszenia i tremy, czy uda się przyjęcie, upijał się tak dokładnie, że przesypiał przyjęcie i gości i budził się nazajutrz wypoczęty i skruszony.

Na trzeźwo był nieoceniony: wierny, uczciwy i pracowity, pełen humoru i niezmąconej pogody.

Stefan Świrski, kucharz.

Dumny ze swej sztuki kulinarnej, w której był mistrzem, nie opuszczał tymoszowieckiego dworu przez lat trzydzieści i płakał gorącymi łzami, gdy wyjeżdżał z Tymoszówki, aby objąć spadek po krewnych, rozległe gospodarstwo we wsi, skąd był rodem.

I lokaj Zacharko.

Gdy już w czasie wojny wzięto go do wojska w Kijowie, gdzie spędzaliśmy podówczas zimę, wsuwał plutonowemu w rękę rubla łapówki i kupiwszy sobie w ten sposób kilkogodzinny urlop, zjawił się nagle pośród nas, stęskniony, uśmiechnięty, ostrzyżony po żołniersku, w pośpiechu dopinając po drodze srebrne guzy swej granatowej liberii.

I wspaniałej kozackiej postawy Hermon, gajowy, przyjazny, rozumny i wierny.

I synowie jego: furman Anton i Nestor, który po awansie ojca na rządcę w majątku Felcia, Błahodatnej, objął tymoszowiecki las i strzegł go w groźnych już czasach, uparcie, z dziką odwagą, zamknięty w samotnym swym domku na leśniczówce. Do wsi powrócił niechętnie, na wyraźny rozkaz Felcia, który obawiał się o niego.

I „did Iwan", stróż nocny, z siwą brodą św. Mikołaja.

Zjawiał się o zmierzchu, jak nietoperz. Dostawał kolację w kredensie i wypiwszy szklankę ulubionej herbaty, rozpoczynał swój obchód conocny i ogarniał trwożnie uśpiony dom łagodnym stukiem swej kołatki i swym czujnym, mocno dudniącym krokiem.

I poczciwy mechanik, staruszek Lewicki.

I odwieczna Krombergusia, mieszkająca u nas w charakterze rezydentki. Grywaliśmy z nią w sześćdziesiąt sześć w jej czystym, pachnącym jabłkami pokoiku w oficynie.

I stary Jakow, kucharz, który nieodstępnie pozostawał z nami do końca i tworzył poematy ze skromnej kartoflanej zupy i grubo mielonej rewolucyjnej kaszy.

I niezastąpiona Kiela, klucznica.

Wyjeżdżając z goryczą na pensję, jej powierzałam najdroższe me skarby: szpicrutę, strój do konnej jazdy i zrezygnowaną, pełną cichej rozpaczy Gamę.

I ojciec Kieli, Stefan, ekonom, bez którego nie mogliśmy wyobrazić sobie Tymoszówki.

Ci pozostali nam najbliżsi i ostatni. Płakali, gdy opuszczaliśmy Tymoszówkę, i odeszli wraz z nami, nie mogąc patrzeć na opustoszały i żałosny dwór.

I wreszcie niezapomniany ogrodnik Sontorek.

Gdy myślę o Sontorku, staje nieodmiennie przed mymi oczyma słoneczny obraz tymoszowieckiego ogrodu i pasieki o czerwonych ulach, z których Sontorek w otoczeniu życzliwych pszczół wybierał ciężkie, bursztynowe w słońcu plastry miodu.

I widzę małą cieplarnię, w której krzątał się wokół dziecięcych, ledwie z ziemi wyklutych roślinek o dziwacznych listkach i nadawał im różne obce, słońcem pachnące nazwy.

Kwiaty hodował z amatorstwa i co roku na imieniny mamy, w dzień św. Anny, zjawiał się z „niespodzianką", jakimś wspaniale wyrośniętym egzotycznym kwiatem, z którego bardzo był dumny.

Gdy jesienią gasły na klombach georginie i róże, Sontorek przysyłał nam z cieplarni chryzantemy, „aby nam było weselej".

Rozstawiano w pokojach rdzawe, żółte i białe rosiste kule, pachnące gorzką świeżością — i w mrocznym, ogarniętym przez jesień domu stawało się ciepło od życzliwości Sontorka, stawało się nagle jasno i świątecznie od kwiatów, jak gdyby dalekie, uchodzące w przeszłość słońce, usiało dom zapomnianym blaskiem swej zwiędłej urody.

Sontorek był z nami wówczas, gdy było słonecznie — i później, gdy było już mroczno.

Przyjechał z nami do Polski — i tu — jakże ciężkie było z nim rozstanie...

I dziś, gdy tylko uda mu się dostać urlop, przyjeżdża nas odwiedzić.

Jest i pozostał nam bliski, jak dawniej. Do mamy przywiązany jest niezmiennie i wiernie.

I co roku w skromnym mieszkaniu na Raszyńskiej zjawia się w dzień św. Anny ładny, troskliwie wyhodowany kwiatek — „niespodzianka" Sontorka.

PIEŚŃ

Oj, te dzikie gąski
Na zachód leciały,
W zimnej nocnej rosie
Pióreczka maczały.

Oj, te dzikie gąski
Pióreczka gubiły,
Z onej to żałości,
Że nas porzuciły...

śpiewała ciocia Żania Zaleska.

Słuchano jej w pełnym uznania milczeniu, a ja w mym kąciku zalewałam się łzami.

Była to pieśń, która mnie wzruszała najbardziej i niezawodnie. A może nie treść jej, lecz jej interpretacja pełna wyrazu i wzruszający głos cioci Żani.

Ciocia Żania w swej młodości brała lekcje śpiewu u słynnego profesora w Odesie. Miała też technikę śpiewaczą wysokiej klasy i ogromną kulturę, a nade wszystko wrodzoną szlachetną interpretację.

Postać cioci Żani zaciera się dziś w mych oczach. Ale dotychczas pamiętam wyraźnie jej śpiew niezrównany i wzruszenie, jakie w mym małym sercu wywoływała ta naiwna, z dziecinnego śpiewnika wydobyta i przez ciocię Żanię do godności dzieła sztuki podniesiona piosenka.

Pieśń kochano w naszym domu na równi z muzyką. Śpiewał każdy lepiej lub gorzej, ale zawsze muzykalnie.

Śpiewano chórem i solo — śpiewano duety Moniuszki i Schumanna.

W letnie wieczory zasiadano na ławce w ogrodzie. Ktoś od niechcenia poddawał ton i w milczące granatowe niebo zrywał się świeży chór głosów.

I ciemnym, pachnącym ogrodem szła pieśń. Niosła się echem dalekim w ciszę uśpionej wsi, ponad tonący w mroku, samotny na wzgórzu dom tymoszowiecki, migocący wśród czarnej gęstwiny drzew widmową bielą swego jasnego dachu.

Później pieśnią zawładnęła niepodzielnie Stasia.

Jej głos czysty, jak poranna rosa, wybiwszy się z chórów i duetów na stanowisko głosu solowego, zdystansował szybko głosy towarzyszy. Zjawiła się samorodna, zawsze trafna interpretacja, urok szczerości i twórczego wzruszenia.

I Stasia wcześnie odeszła w świat, żegnana przez dom tymoszowiecki z miłością i niepokojem, wątła w swym odważnym osamotnieniu, silna nakazem swego talentu, cicha i wytrwała.

Stasię kochałam bardzo. Była łagodna i wesoła.

Uczyła mnie geografii i niemieckiego.

Zmorą moją była wówczas niemiecka gramatyka.

Pamiętam raz — gdy opadła nas ze Stasią śmiertelna nuda niemieckich przypadków i mglistej, a zawsze zawodnej wiedzy o der, die, das — obie, nauczycielka i uczennica, rozpłakałyśmy się w końcu.

Pewnego razu na święta uszyła mi Stasia własnoręcznie prezent „pod poduszkę" — wspaniałą wyprawę dla lalki mej, Margerity.

Energicznie i życzliwie wiązała mi kokardę na czubku głowy.

Stasi słuchałam zawsze chętnie. Nie bolała mnie nigdy uczyniona mi przez nią uwaga.

Wszelkie sprawy Stasi obchodziły mnie blisko i dotkliwie.

Jednym z najsilniejszych wspomnień mego dzieciństwa był tyfus Stasi.

Nie zdawałam sobie dokładnie sprawy z grozy choroby — przeczuwałam ją jednak i szarpałam się w bezradnym dziecięcym niepokoju.

Jakże marzyłam o tym, aby na chwilę chociaż, przez nieuważnie otwarte drzwi, rzucić okiem na drobny kształt, wtulony w poduszki z wyrazem nieopisanego znużenia.

I z jakąż radością i bólem patrzyłam na jej wychudzoną twarzyczkę w burzy obciętych włosów, gdy po raz pierwszy, po powrocie do zdrowia, zasiadła ze wszystkimi do obiadu w jadalnej sali.

W Tymoszówce kochałam jej błękitny pokoik, który później stał się moim. I podziwiałam ją, gdy uganiała konno na Złotym, lub śpiewała z Felciem ulubiony przeze mnie duet Moniuszki „Posłuchajże, Chicho moja..."

Później pieśń uniosła ją daleko od tymoszowieckiego domu.

I życie niejednokrotnie odrzucało nas obie daleko od siebie.

Lecz pozostała na zawsze solidna przyjaźń nasza — nieomylna wspólność dwu krzewów na jednym gruncie wyrosłych — i w jednej wygrzanych cieplarni...

BABUNIA MISIUNIA

Babunia Misiunia Taube, matka mamy.

Babunia miała białe, gładko zaczesane włosy, żywe czarne oczy i bardzo łagodny uśmiech.

Wieczorami kładła z papą pasjanse.

W piątek i sobotę wielkiego postu jadała potrawy na oleju, a w wielki piątek suszyła dzień cały i modliła się z grubej książki do nabożeństwa, w której było dużo świętych obrazków.

Gdy które z dzieci było niezdrowe, dostawało od babuni ziółka miętowe i „dziaduniowy proszek". Było to najlepsze lekarstwo w świecie, na które jedna babunia posiadała receptę. Szumiące, jak woda sodowa, o niezapomnianym, przedziwnym smaku.

W czasie choroby dziecka babunia jedna, poza mamą, umiała je doglądać i dogadzać jego życzeniom.

Pierwsze lekcje czytania odbywały się też z babunią.

Pamiętam zaciszny pokój babuni, z wielkim łóżkiem w kącie, staroświeckim zegarem na jesionowej komodzie i ukwieconym ołtarzykiem pod ścianą.

Pachniało w nim wodą kolońską i trociczkami.

Rano Madzia i ja odbywałyśmy w nim lekcję.

Czytałyśmy każda po kolei w książce z wielkimi drukowanymi literami powiastkę o „grzecznej Helence", która dzieliła się z braciszkami różowym karmelkiem i w ciepłym szlafroczku jadła kaszkę na mleku po kąpieli. Budziła w nas ona niechętny podziw swą bezprzykładną, monotonną grzecznością.

Później słuchałyśmy ze wzruszeniem „Śpiewów historycznych" Niemcewicza, czytanych nam przez babunię. Napawała nas głęboką litością „od dworaków opuszczona Helena w stroju niedbałym... z synem u łona" — i przejmował dreszczem zimnej grozy nieszczęsny Gliński w kajdanach, któremu wydarto oczy.

Babunia uczyła też czytać i pisać po polsku dzieci i dorosłych spośród dworskiej służby.

Przez „uniwersytet babuni", jak z uśmiechem nazywano to nauczanie, przeszli: Karol Maćkowski, kuchcik, i Władek, jego pomocnik, i biedny, głupi Staś Pietraszewski, ogrodniczek, i dzieci Grajbera — przeszło ich wielu, wielu.

Wieczorami zbierała babunia w swoim pokoju wszystkie dzieci i czytała im głośno.

Zasiadaliśmy wówczas przy stole w babuni pokoju, z farbami, dekalkomanią, lub jakąś brudnawą robótką — i słuchaliśmy w milczeniu opowieści o rzewnych losach Róży na Tannenbergu — i wzruszały nas do łez szlachetne czyny Ostatniego Mohikanina.

Ukończywszy poranną lekcję z nami, zabierała się babunia po południu do czytania lub haftu.

Czytała wiele i to rzeczy wcale nowe. Haftowała zaś pięknie, nie używając przy tym nigdy okularów, drobniutkimi krzyżykami na sposób ukraiński.

Każde z dzieci miało nocną koszulkę wyhaftowaną przez babunię. Wkładało się ją na święta i trzeba ją było oszczędzać.

Babunia posiadała najlepsze przepisy na wielkanocne mazurki i baby, które były niezrównanie lekkie, wyniosłe i pachnące świętem.

Pieczono je w ogromnym piekarnianym piecu i dom cały był w strachu, aby się „nie przeziębiły". A gdy się udały, babunia pełna była cichego triumfu.

W maju odbywało się codziennie wieczorem majowe nabożeństwo w pokoju babuni.

Pachniało w nim wówczas słodko perskim bzem i wczesnymi białymi różami, w które ubierało się ołtarzyk.

W błękitnym wiosennym zmierzchu, zalewającym pokój, migotały złociście drżące płomyki świec na ołtarzyku, jak dwa żywe, gorące serduszka — i klekotał rozwlekle w modlitewnym chórze senny głos Stasia Pietraszewskiego, powtarzający z przejęciem:

— Módl się za nami...

Gdy byłam mała, sypiałam u babuni w białym łóżeczku z drabinką.

Babunia grzała mi zawsze nocną koszulkę przy piecu.

Zasypiałam z uczuciem radosnego spokoju. Naftowa lampa, osłonięta bibułką, aby nie raziła mi oczu, paliła się na stole — a babunia w kącie przy piecu odmawiała cicho pacierze.

I żaden zły sen nie miał wówczas do mnie dostępu...

Babunia, zawsze pełna spokoju i pogody, obawiała się skrycie jednego dnia w roku. Był to dzień „Spasa", dzień szóstego sierpnia.

Był on zwykle upalny i złoty, dla babuni przesłaniał się jednak chmurą trwożnej tajemnicy.

Gdy babunia była młoda, włócząca się po drogach Cyganka o wiedzących oczach rzekła do niej:

— Wy, pani, na Spasa pomrete.

W rok później inna znów i gdzie indziej spotkana Cyganka powtórzyła dokładnie co do dnia tę samą ponurą wróżbę, patrząc władczo w zalęknione oczy babuni.

Głęboko zapadły dziwne przepowiednie w trwożnie bijące babunine serce.

I gdy ów gorący a posępny dzień szóstego sierpnia ułożył się do snu w przywiędłej glorii późnego lata, w noc głęboką budziłam się z lękiem i widziałam babunię klęczącą przy łóżku.

Biała jej głowa chyliła się nisko, w szczupłych dłoniach z niesamowitym klekotem przesuwał się różaniec, a w mężnej ciszy milczącego czekania z niewiadomej dali nadchodziła groza.

O, jakże radośnie słoneczny wstawał nazajutrz ranek — i jak daleko uchodził czarny, bezgłośny koszmar wróżebnej nocy!

I pewnego dnia chmurnego, nie oczekując i nie spodziewając się niczego, po krótkiej chorobie, odeszła babunia Misiunia spokojnie, bez trwogi, z uśmiechem na ustach...

A był to dzień dwunasty listopada.

ZAPACH

Powróciwszy z ogrodu lub z przejażdżki w pole, z dławiącego kurzu i oślepiającego upału wchodziło się w chłodny, pachnący mrok tymoszowieckiego domu.

Pachniało w nim trochę owocami a trochę pastą do podłóg, zielenią, powietrzem i starymi pamiątkami.

Już nigdy żaden dom na świecie tak pachnieć nie będzie.

W dzieciństwie wiele rzeczy ma zapach niewysłowiony, który się już później nie powtarza.

Pamiętam na przykład, jakby to dzisiaj było, zapach perkalowego kota, którego dostałam od mamy.

Był to kot uszyty z jednego kawałka i wypchany watą. Nie był wykwintny. Był duży i gruby, z szarego perkalu w czarne prążki. Miał poczciwe, okrągłe oczy pod ciemnymi brwiami.

Był wzruszający w swojej prostocie — i był mój własny.

Kochałam go najwięcej ze wszystkich zabawek. Pachniał farbą i olejem. Był tak nieskomplikowany, że nie mógł się popsuć. Był też dla mnie zawsze nowy i piękny.

Odszedł ode mnie jakoś niepostrzeżenie. Może się zgubił, może go darowano ubogiemu dziecku.

Nie wiem nawet, czy płakałam po nim. Ale jakże wiele dałabym za to, aby dziś uczcić jego swojski, kochany zapach i móc go mocno przycisnąć do piersi, jak wówczas — gdy miałam trzy lata.

Dzieciństwem pachną też czerwone piwonie.

Witały nas one świeże i roześmiane, gdy w letni poranek wybiegaliśmy z domu, wyrwawszy się nareszcie ze szponów bony, która upierała się, aby nas „uczesać porządnie".

Biegliśmy przed siebie, szaleni radością. Dziecięce piersi chłonęły z rozkoszą aż do bólu błękitne, rzeźwe jeszcze powietrze.

A w słońcu migotały niewiarogodnie czerwone, nie do zniesienia urocze — rosiste krzewy piwonii.

Miałam ochotę tarzać się w szkarłatnym bogactwie kwiatów, pić ich rosę i gryźć mięsiste płatki. Zawarły w sobie wczesną radość lata — i tchnęły nią w najczarowniejszym zapachu.

Zapachu dzieciństwa określić nie podobna.

Zapach ten przemknie czasem jak błyskawica w późniejszym życiu, rozjaśniając nagłym, czarodziejskim światłem błękitne niwy, wieczną kołysane pogodą — kraj naszego dzieciństwa, zagasły, zdawało się, na zawsze w mroku rzeczy przeszłych i przebolałych.

A czasem uczepi się kiści perskiego bzu, skrawka starego perkalu, urywka dawno nie słyszanej melodii — żałosny i pełen czaru — i prosi i zmusza do zatrzymania się na chwilę na kamienistej ścieżce, którą wyznaczył nam los.

Z przymkniętymi oczyma, z rozdzwonionym boleśnie sercem chłoniemy ten zapach jedyny, chwytamy świetliste strzępki naszej własnej, umarłej duszy.

...I stanąwszy u źródła, pokrzepieni na chwilę, z oczami pełnymi światła, wędrujemy znów z trudem przed siebie po twardej, twardej ścieżce, po której ściga nas nieustępliwe życie.

MAMA

Mama — moja jedyna, moja własna mama.

Mimo woli dziwiłam się zawsze, gdy inne dzieci, Madzia, Nulka i Michał, mówiły do mamy „cociu". Nie mogłam sobie wyobrazić, aby mama mogła nie być dla kogoś najbliższą.

Miałam zawsze z mamą tajemnice i wierzyłam bezgranicznie w jej dyskrecję, która mnie nigdy nie zawiodła.

Mama, podobnie do papy, każdą troskę dziecinną traktowała poważnie i starała się jej zaradzić jak najlepiej.

Nigdy nie widziałam mamy nachmurzonej. Była niezmącenie pogodna i pomimo swej żywości i roztargnienia, pełna wewnętrznego spokoju. Jej decyzja niezachwiana i pewna działała na mnie zawsze kojąco i nieomylnie wskazywała mi drogę w mych dziecinnych zwątpieniach.

Przed mamą najłatwiej było wyznać swą winę.

Mama miała udział we wszystkich mych radościach i cichych triumfach. Jak miło było pochwalić się mamie pięknie naklejoną wycinanką lub efektownym rysunkiem. Temat jego stanowiła nieodmiennie dziewczynka z lokami i kokardą na głowie i wyrastającymi z brzuszka krótkimi rękami, których dłonie zakończone były wielką ilością rozwartych palców.

Jeśli dziewczynka wydawała mi się wyjątkowo udana, dawałam u dołu napis: „Mamusia Szymanowska". Bo przecież nikt nie był dla mnie piękniejszy od mamy. Któż posiadał równie miłe niebieskie oczy i równie kojący uśmiech?

Gdy łagodna, lecz nieubłagana jak przeznaczenie stawała nad mym łóżkiem ze szklanką rycynowego oleju, w obłąkanym porywie bohaterstwa pochłaniałam wstrętną mieszaninę w czarnej kawie lub zimnej wodzie — i czyniłam to „za jej zdrowie", tylko dla niej.

Gdy dusiłam się w ciężkim dyfterycie, jej, jakże przerażone zapewne, lecz spokojne na pozór oczy, wpatrywały się we mnie z uśmiechniętą słodyczą.

Nie chciałam nikogo — chciałam tylko mamy. Nie mogłam tego wypowiedzieć, gdyż głos nie chciał wyjść z opuchniętego gardła. Tylko milczące łzy leciały mi gradem po twarzy, gdy odeszła na chwilę.

Jakże obcy byli dla mnie wówczas ci najbliżsi, którzy nie byli mamą. Patrzyli na mnie z niepokojem i starali się mnie zabawić. Pytali mnie o coś, na co nie miałam siły odpowiedzieć. Mama wiedziała wszystko bez słowa i z czujną radością uprzedzała każde me życzenie.

Mama nie pamiętała nigdy o własnym zmęczeniu i smutku.

Po nieprzespanej bladej nocy niepokoju stawała nad łóżkiem chorego dziecka pełna pogody, wpatrzona z czułością w jego błyszczące gorączką oczy.

A później przychodziło wyzdrowienie — umęczony spokój przeżytej walki, krótkotrwały szacunek zdrowych dzieci i częste słodkie sam na sam z mamą, która potrafiła małemu rekonwalescentowi czytać godzinami, grała z nim w karty i wycinała obrazki.

Gdy w dzieciństwie mym mama odjeżdżała na dłużej, poważnie radziłyśmy obie nad tym, co czynić, abym za nią nie płakała. Mama podawała mi różne sposoby i rady, które, niestety, pomagały tak niewiele...

Po jej wyjeździe owijałam się w łóżku w stary jej szlafrok granatowy, który zachował trochę jeszcze najbliższego, jedynego zapachu jej perfum — i zasypiałam w końcu. A łzy, na które tak mozolnie szukaliśmy z ma-

mą rady, płynęły uparcie i wsiąkały w wyblakłą wełnę szlafroka.

Gdy odwożono mnie do szkoły, w okrutnej grozie rozstania, w cierpieniu bezradnego poddania się losowi, bladło i mętniało mi wszystko, przybierało kształt nierealny przeżytego snu.

A na szarym, niewyraźnym tle dalekich przeżyć i daleko pozostałych drogich ludzi promieniała mi w złocistym kręgu mej wciąż żywej, dziecięcej tęsknoty najbliższa i jedyna twarz mamy.

Mama miała zawsze czas na wszystko i dla wszystkich.

Miała czas dla papy, z którym niosła pogodnie ciężar radości i smutków życia.

Miała czas dla dzieci, z którymi zawarła solidarny pakt ufności, przyjaźni i porozumienia.

Miała czas dla ubogiego Żydka Motka, handlarza, którego uleczyła z ciężkiego zapalenia płuc, i kupowała z uśmiechem jego kwaśne, niesmaczne jabłuszka.

Miała czas i dla starej żebraczki Stefańskiej, którą żywiła i odziewała przez lat kilka.

Miała czas dla wszystkich, potrzebujących jej uśmiechu, serca i opieki.

Dla siebie miała go najmniej. Jej czas był dla niej nieważny, bo nie myślała o sobie.

Miała i ma zawsze wdzięk nieodparty — i wszędzie mnóstwo przyjaciół. I była — i pozostanie nam zawsze najbliższą.

I dziś jeszcze, gdy stanę wobec nagłego lęku lub cierpienia, gdy nie zdążyłam jeszcze opanować sytuacji, którego to opanowania nauczyło mnie życie — twardy profesor — wprost ze wstrząśniętych nerwów, mijając władczy, spokojny mózg, na zbielałe me wargi pada jak błyskawica wszechmocny, czarodziejski wyraz:

— Mamo!...

WIERSZE

Wszystkie prawie dzieci w Tymoszówce przechodziły okresy wzniosłej ekstazy i poetyckich natchnień, których wynikiem były sentymentalne wiersze lub ponure dramaty, pełne lochów więziennych, krwi i trupów.

Dzieci odgrywały często te straszliwe widowiska przed wdzięczną publicznością, złożoną z rodziców, ciotek i wujów.

Zwykle wybierano, zdaje się, dramaty Katota, które, chociaż równie groźne i romantyczne, miały zapewne jakieś większe wartości sceniczne.

Pewnego razu był podobno odegrany wzruszający dramat tegoż autora o uwięzionej w lochach zamku niemieckiego margrafa księżniczce Elzie.

Wątła, złotowłosa dziewica, ukryta za sceną, miała jęczeć boleśnie.

W braku aktorów liryczną tę rolę powierzono wujowi Olesiowi Zaleskiemu, który zasiadł ochotnie w kulisach i ryczał przejmującym basem.

Z owych to zapewne czasów pochodzą nastrojowe liryki Nuli, pełne łzawego sentymentu. Kończyły się one smutną hipotezą:

O drogi mój, ja tak kocham ciebie,
A tyś już pewnie z aniołami w niebie.

I w końcu mglistą, w trybie warunkowym wyrażoną obietnicą:

O północnej dobie
Umarłbym na twym grobie.

Wiersze Stasi nosiły charakter epickiej grozy.

W tradycji rodzinnej pozostał z nich jeden, którego tragiczna treść podaną była w formie pogodnej gawędy:

Będzie już lat temu z osiem,
Gdy siostry moje, siedząc koło krosien,
Wesoło gwarzyły. Ja byłem smutny i zamyślony
I patrzyłem na przelatujące wrony.

(Siostry zapytały zapewne):

O mój Wacławie, mój bracie drogi,
Czemużeś taki smutny i srogi?

(Brat prawdopodobnie odrzekł im z oburzeniem):

Dziś wilia wilii — czyż wy nie wiecie?
Rok temu właśnie ojciec nasz drogi,
Gdy mu mówiono, aby zszedł z drogi,
On nie usłuchał, wóz go przejechał,
A człowiek, widząc martwego, dalszej jazdy
[zaniechał.

Taki był koniec nieszczęsnego, nieposłusznego ojca — i koniec zarazem tej krótkiej, lecz posępnej opowieści.

Z moich dziecinnych wierszy pamiętam urywek rzewnej elegii o Niemnie, w której dobroduszny jakiś Litwin wspomina rycerską swą młodość:

Siadywał ja, siadywał nad brzegiem tej rzeki,
Siadywał dorosłym młodzieńcem,
Siadywał ja tutaj, gdym wracał z wojenki
Z zwycięskim laurowym wieńcem.

I następnie śpiew historyczny o zaaferowanym Janie Kochanowskim, szukającym medyka dla chorej Urszulki:

Raz, kiedy Kochanowski poszedł się położyć,
Słyszy raptem za sobą okropny głos żony:
— Jasiu, na miłość Boską, co mam jej przyłożyć?
Całe ciało i główkę ma tak rozpalone.
Kochanowski się zerwał i rzecze:
— Wieszże przynajmniej, jaka ją choroba piecze?
— Nie. — Więc pójdę szukać doktora,

— A ty idź do niej, bo pewno chora
Potrzebuje, aby kto koło niej siedział.
I Kochanowski, gdy to powiedział,
Wstał i poszedł szukać medyka.
I po drodze sługę wiernego spotyka
I mówi: — Idź po doktora,
Bo moja kochana Urszulka chora.
— Chora — sługa zawołał —
Obym tylko ciężkiej drodze podołał.
I poszedł.
Ale nim do miasta doszedł,
Nim doktór doszedł do domu,
Nie było już po co iść komu.
Krzyknęła: — Jezus, Maria, Józef, dziecinka
I zamknęła na wieki oczki dziewczynka.

W tej ponurej balladzie zastanawia mnie niedołęstwo biednego Kochanowskiego, który zapewne tak dalece stracił głowę, iż nie przyszło mu na myśl w tę „ciężką drogę" wysłać wiernego sługi końmi, o które było mu chyba łatwo.

Gdy myślę o tych przezabawnych, głupawych poezjach, widzę siebie: ośmioletniego brzdąca, smarującego w brudnym kajeciku kulawe wierszyki.

...I tak bardzo bym chciała powrócić do owych słonecznych czasów, przenizać raz jeszcze na nowo różaniec złotych dni dzieciństwa, w najsłodszym zaciszu naszego domu, pod bezchmurnym słońcem Tymoszówki...

KONIE

Dobre konie w okolicy mieli Polacy. Sąsiedzi nasi, Rosjanie, nie bardzo dbali o urodę swych ciężkogłowych karoszów czy siwków, przy pierwszej możliwości zamieniając je na samochody.

W Tymoszówce konie były piękne, gdyż Felcio, który po śmierci papy objął gospodarstwo, namiętnie lubił je od dzieciństwa i zaprowadził własną stadninę.

Nie byli to już potomkowie owych „dzianetów", czy „bachmatów", na których uciekała Basia Wołodyjowska i wyjeżdżał w pole Chmielnicki, chociaż Tymoszówka leżała w samym sercu Dzikich Pól.

Były to sobie angliki pół krwi, bardzo szybkie i subtelnej budowy.

Ślicznie wyglądały, gdy szły równo i lekko w swych skąpych angielskich szorach, z podciętymi ogonami i gładko ostrzyżonymi grzywami, co uwydatniało harmonijną smukłość ich szyi.

Niektóre konie były przemiłe: inteligentne, łagodne i życzliwe.

Inne, których upór i narowy tłumaczono czule młodym ich wiekiem, były postrachem ciotek i co spokojniejszych mieszkańców tymoszowieckiego domu.

Nieraz z Karolem Rościszewskim urządzaliśmy kawalkady konno i powozami.

Karol miał również konie doskonałe i pełne nie zawsze miłej fantazji.

Dla mamy i ciotek podawano wówczas wygodne powozy, zaprzężone w parę lub czwórkę statecznych gniadoszów i oddawano je pod opiekę Antona i wąsatego Warfołomeja. Reszta towarzystwa tłoczyła się w różnych szarabanach, brekach i wolantach.

Ileż wesołych przygód przeżywaliśmy nieraz w czasie naszych spacerów! Ile razy konie nasze narowiły się, nosiły, lub wywracały nas na środku drogi, udając, że się nagle spłoszyły. Darowywano im wszystko, bo były „młode" — i bo je kochano.

Felcio, który lubił ujeżdżać konie, pewnego dnia z niewinną miną poprosił Nulę, aby pojechała z nim parą „młodych" po sprawunki do miasteczka. Trzeba je było „przejechać", aby się nie „zastały".

Nula, przeczuwając, co się święci, wsiadła z determinacją do niewielkiego szarabana, w którym kręciły się niespokojnie i chytrze błyskały oczyma dwa szczupłe, złośliwe kasztany.

Ruszono sprzed ganku względnie spokojnie. Ale zaraz za bramą rozpoczęły się harce. Konie, ubiegłszy kilkaset kroków, zbaczały nagle w pole i poczynały tańczyć dzikiego walca z Nulą, Felciem, furmanem i bryczką, po czym spienione i zdenerwowane ulegały prośbom i groźbom furmana i dawały się w końcu zawrócić na szosę.

Ta zawrotna jazda do odległej o sześć wiorst Kamionki trwała przeszło dwie godziny.

Po kilkugodzinnej nieobecności Felcio i Nula powrócili wreszcie z miasteczka zziajani, witani przez wszystkich z ulgą, z jaką zapewne witany był przez bliskich krewnych prorok Daniel, gdy się wydostał z lwiej jamy.

Wuj Adam Rościszewski posiadał parę dereszów, którymi można było jechać spokojnie, o ile udało się je zaprząc.

Lecz udawało się nie zawsze i była to ceremonia długa i skomplikowana. Świadkiem jej był kiedyś Felcio, który był wówczas z wizytą u wuja w Bundurowie.

Najpierw pędził cwałem chłopiec stajenny i otwierał wszystkie trzy bramy podwórza, gdyż nigdy nie wiadomo było, przez którą z bram konie wyskoczą.

Wówczas wyprowadzano deresze ze stajni i cichutko wysuwano szaraban z wozowni.

Konie, wyglądając na pozór niewinnie, stały spokojnie, rzucając baczne spojrzenia na starego Fedia, który skradał się ku nim z kantarami w ręku.

Jednym ruchem zarzucano koniom kantary, przy czym Fed' przemawiał do nich czule: — Ho hou kośki, i zabawiał je, chcąc odwrócić ich uwagę od nieszczęsnej uprzęży. Przyznać trzeba, że zaprzęgał je z akrobatyczną wprost zręcznością.

W końcu, niedostrzegalnie zaczepiwszy orczyki, wskakiwał błyskawicznie na kozioł i chwytał lejce.

Wówczas konie, oszukane i wściekłe, rzucały się nagle galopem przed siebie i trafiały w pierwszą lepszą rozwartą bramę. Po czym wyhasawszy się w polu z niewzruszonym Fediem na koźle, wracały już spokojne i zrównoważone.

A pogodny wuj Adam skarżył się Felciowi bez gniewu na liweranta:

— Widzisz, mój kochany. Prosiłem go, żeby mi dał parę spokojnych koników do bryczki, a ten szelma wsadził mi takie diabły, z którymi nie wiem, co robić. I nikt ich ode mnie kupić nie chce. Wiedzą już w okolicy, że jeden Fed' umie je zaprzęgać.

Lecz niepoprawne „diabły" zdarzały się rzadko. Konie pieszczone, nigdy nie bite, były przeważnie rozumne i przyjacielskie i nie było chyba konia, który by się nie dał ujeździć, zwłaszcza, jeśli był swego chowu.

Na przykład Werwa, moja najmilsza gniada wierzchówka.

Była śliczna. Jej trochę krótkowzroczne, wypukłe oczy były rozumne i bystre. Na jej doskonale wysmukłym ciele, tuż pod drążącą skórą, przebiegała sieć drobnych żyłek, a proste, cienkie nogi ścigłe były, jak nogi sarny.

Z początku miałam z nią wiele kłopotu. Miała opinię ostrej i niespokojnej. Miała trzy lata, gdy zaczęłam na niej jeździć. Dosiadałam jej najpierw ukradkiem i wyjeżdżałam wprost ze stajni, aby mnie nie zauważono i nie niepokojono się o mnie.

Werwa była inteligentna, niezależna i złośliwa. Odnosiła się do mnie z początku z niechęcią, jak do każdego, kto ośmielał się ukrócić jej młodzieńczą swobodę. Ileż razy, gdy uczuła, że odwróciłam od niej na chwilę uwagę, na gładkiej drodze wyskakiwała nagle jak pocisk czterema nogami w górę, chcąc mnie koniecznie zrzucić z siodła. Cień drzewa, kładący się w poprzek drogi, a zwłaszcza cień kręcącego się wiatraka wprawiał ją w szał zdenerwowania. Wówczas rzucała się błyskawicznie w bok, trzęsąc się z irytacji. Nieraz nosiła mnie po ścierni lub po wybojach buraczanego pola, z krwawymi oczyma, wyprężona jak struna i szybka jak strzała.

Im więcej grymasiła, tym więcej ją kochałam. I w końcu pogodziła się ze mną, co więcej, pokochała mnie po swojemu, z dumną rezerwą.

Później, gdy byłyśmy już w zgodzie, ilekroć podchodziłam do niej, chcąc wsiąść na siodło, Werwa kręciła się niespokojnie i oglądała się, dopóki nie stanęłam przed nią i nie poklepałam jej po szyi, mówiąc:

— Werwa, to ja, nie bój się.

Wówczas uspokajała się w tej chwili i w najlepszym porozumieniu wyjeżdżałyśmy stępa za bramę.

Nie było lepszego nad nią wierzchowca i milszego towarzysza.

Kiedyś przyszło mi na myśl zaprząc ją do leciutkiej bryczki wraz z jej równolatką, urodziwą kasztanką Mimozą i pojechałam w pole.

Wracałam późnym wieczorem. Było tak ciemno, że nie widziałam koni przed sobą.

Obie wierzchówki nie lubiły chodzić w zaprzęgu, szły więc nerwowo, zrywając się co chwila do galopu.

Nagle obie stanęły jak wryte. Nie pomogło cmokanie i potrząsanie lejcami, klacze dygotały ze zdenerwowania, lecz nie dały się ruszyć z miejsca.

Zeskoczyłam ostrożnie z bryczki i podeszłam ku nim. Stały tuż nad głębokim rowem, nad który zajechałam, zgubiwszy w ciemności drogę.

Byłam tak wzruszona ich inteligencją i szybką orientacją, że objąwszy ich spocone szyje ucałowałam je serdecznie.

Rozumny i pełen wdzięku był również Roden, reproduktor, anglik czystej krwi, jasny jak złoty brąz. Był lekki i smukły jak wąż. I był niewiarogodnie piękny i dobry.

Wręcz odmienną urodę posiadał Rywal. Był prawie czystej krwi arabem i nosił się jak książę. Miał wielkie czarne oczy i wypukłą szyję.

Kiedyś był siwy. Później zbielał jak śnieg, a grzywa i ogon pozostały czarne.

Nienawidził z całej duszy łagodnego Rodena. Słusznie też był nazwany jego „Rywalem".

Na Rywalu często jeździł Felo. Nazywaliśmy go żartem „Sobieski pod Wiedniem", gdyż Rywal miał naprawdę w sobie coś z „bachmata" na starych rycinach.

Jeździł też na nim Artur Rubinstein, gdy odwiedzał nas w Tymoszówce. Moim wierzchowcem był wówczas Roden. I smutno skończyła się jedna z moich przejażdżek

z Arturem, gdyż Rywal, mijając na wąskiej ścieżce Rodena, schwycił mnie nagle ze złością zębami za kolano i omal go nie zmiażdżył.

Często z Nulką Kruszyńską, Stasią, lub Nulą zaprzęgałyśmy do biedki poczciwego „Żydka", skarogniadego konika, którego nic nie mogło wyprowadzić z równowagi.

Biedka była to dwukółka tak mała i lekka, że wylatywało się z niej jak z procy, gdy tylko uderzyła o ścięty pień, lub o kamień przydrożny. Ale miała tę zaletę, że zmieścić się mogła na najwęższej leśnej ścieżce i obrócić nią można było na półmetrowym cypelku.

Nieraz najniespodziewaniej wylatywałam w pędzie z biedki z lejcami w ręku. „Żydek", pociągnięty silnie, stawał jak wryty, czekając z pobłażliwą ironią, abym się usadowiła z powrotem, a my tarzałyśmy się obie na biedce w homerycznym śmiechu.

Jesienią, w najgorszą nieraz pogodę, owinięte w burki, wyjeżdżałyśmy z Nulą naszą biedką i „Żydkiem" na pocztę.

W mętne, mgławe popołudnie jechałyśmy chlupiącą rzadkim błotem szosą. Po obu jej bokach ciągnął się w nieskończoność grząski, wspaniały czarnoziem zoranych pól, nad którymi krzątały się bezładnie stroskane kawki.

Ziemia, naga i drżąca w swym jałowym smutku, tuliła się w porwane szmaty niskich mgieł. W siwym mroku błyskały w miasteczku żółte światełka, jak oczy życzliwe i czujne.

Odebrawszy pocztę, wracałyśmy obłoconym po uszy, zawsze pogodnym „Żydkiem", mokre od mgły i pełne radości.

Zimą zaprzęgałyśmy Krasawca do małych, czerwonych saneczek i jechałyśmy do lasu.

Wjeżdżałyśmy w roziskrzoną pod kryształowym niebem leśną ciszę. Saneczki skrzypiały cichutko na wąskiej dróżce i nieraz wychodziło nam naprzeciw stado zdziwionych sarn.

Stały chwilę nieruchomo, po czym przeskakiwały sprężyście drogę i znikały w białej kurzawie, jak urocza bajka.

Wieczór się zbliżał i trzeba było wracać.

Ostrożnie zawracałyśmy w miejscu pomiędzy stojącymi nieruchomo pniami, a siedzące na gałęziach wrony sypały nam śnieżną okiść na głowy.

Czerwona łupinka saneczek mknęła szybko przez szklany dzwoniący las.

Lekki Krasawiec, własnym pędem upojony, gnał w kłębach mroźnego oparu w siniejące ku wieczorowi niebo.

W dalekim, nagrzanym domu, w złocistym świetle naftowych lamp nakrywano do herbaty, a w ciemnawym salonie — Felcio grał Chopina.

PANNA CLÉMENCE

Panna Clémence nosiła czerwoną aksamitną bluzkę w czarne cętki, która budziła we mnie obłędny zachwyt. Marzyłam o tym, aby mieć taką sukienkę.

Przyjechała do nas od pewnych państwa, którzy mieli bardzo grzeczne dzieci.

Trzeba było z nich brać przykład. Panna Clémence opowiadała nam o nich długo i szeroko. W miarę opowiadań nabierały wciąż nowych zalet, a ich zdumiewająca grzeczność odsuwała się od nas coraz dalej w krainę nieziszczalnego. Nie mogłyśmy jej nigdy z Madzią nadążyć.

Przyjechawszy, panna Clémence z niewesołą wprawą osoby pozbawionej domu rozgościła się szybko w wyznaczonym jej pokoju i zaprzyjaźniła się z nami od razu.

Następnie zagarnęła powoli nasze podatne, choć rogate dusze, naukę naszą i wychowanie.

Ku skrytemu zmartwieniu babuni, mniej przebywałyśmy z nią teraz. Musiałyśmy poważnie zabrać się do arytmetyki, geografii i historii.

Zdobywałyśmy powoli zawiłą arytmetyczną wiedzę o „addition" i „soustraction" i wertowałyśmy z panną Clémence odległe dzieje króla Franków Klowisa, i Karolingów, okropnych dzikusów, rozbijających maczugami głowy tym, którzy nie umieli im się podobać. Ale panna Clémence kochała swoją starą dynastię, musiałyśmy więc darować Klowisowi i jego następcom ich dzikie obyczaje.

Chciałyśmy kochać to, co kochała panna Clémence, i byłyśmy z nią solidarne.

Panna Clémence wrosła szybko w dom tymoszowiecki i weszła w skład rodziny. Przywiązała się do nas, do mamy i do wszystkich w domu. Wszelkie wydarzenia rodzinne obchodziły ją najbliżej.

Za swoją rodziną nie tęskniła nigdy i nie mówiła o niej.

Może nie miała nikogo. Może była samotna, jak przydrożna wierzba, i dlatego tak szybko zapuściła korzenie w miękki grunt Tymoszówki.

Panna Clémence opiekowała się nami z nieustępliwą obowiązkowością.

Przy niej bawiłyśmy się, z nią chodziłyśmy na spacer. Z nią miałyśmy lekcje, a co jakiś czas odbywał się w obecności rodziców egzamin, po którym otrzymywałyśmy stopnie i nagrody.

Miała dla nas w zapasie mnóstwo historyjek, opowiadań, nowych zabaw i robótek.

Karała nas rzadko i zawsze sprawiedliwie. Nie miałyśmy też do niej żalu i po ukończonej „pokucie" rzucałyśmy się jej przyjaźnie na szyję.

Myślę, iż była mistrzem w swym fachu.

— Sophillette — mówiła do mnie — i nigdy nie podniosła głosu. Nie widziałyśmy jej nigdy gniewnej.

Swoje niegroźne, złe humory chowała dla dorosłych, najczęściej dla mamy, na którą dąsała się co jakiś czas, zresztą bez powodu, raczej mocą utartego zwyczaju.

Gderała też czasem na starego Bazylego łamaną polszczyzną, którą rozumiała ona jedna i Bazyli. Stary odpowiadał jej wtedy wesoło:

— Et co tam, pannuńciu. Ja pannuńci dobrej kawki przyniósł. Niech pannuńcia pije, ta do nas nie miesza się.

Gdy zachorowałam na dyfteryt, a inne dzieci odesłano do cioci, panna Clémence wyręczała mamę w doglądaniu mnie.

Gdy budziłam się z poobiedniego snu, widziałam ją zawsze siedzącą bezczynnie i nieruchomo przy oknie.

Bała się obudzić mnie najlżejszym szelestem, a gdy poruszyłam się w łóżku, patrzyła na mnie z uśmiechem wzruszenia.

Zrozumiałam wtedy, że mnie kocha.

Myślałam o tym ze smutkiem, gdyż niechętnie powracałam do niej i do Madzi po chorobie, w której mi dogadzano i pieszczono mnie. Musiałam przyzwyczaić się na nowo do codziennego życia i do panny Clémence — i czułam, że było jej to przykre.

Później zrozumiałam lepiej jeszcze, jak bardzo kochała nas panna Clémence.

Było to wtedy, gdy musiała odjeżdżać. Gdy rozstawała się z nami, zapewne na zawsze.

Ujrzałam wówczas, że kocham ją i ja.

Tuliłam do piersi lalkę, którą mi darowała — i dławiący ból ściskał mi serce.

Powóz zajechał i wszyscy wyszli żegnać pannę Clémence.

Żegnano ją ze łzami, całowano i składano życzenia na drogę, a babunia mocno przycisnęła ją do piersi i świętym obrazkiem uczyniła nad nią znak krzyża.

— Merci, vous tous, merci, powtarzała panna Clémence łamiącym się głosem. I słaniała się z bólu, właśnie jak wyrwana z korzeniem wierzba.

A w turkocie oddalającego się powozu, w tumanach kurzu i w szarej pustce, która nagle powstała wokół mnie, usłyszałam jej nabrzmiały łzami głos:

— Ne m'oubliez pas, Sophillette...

ŚWIĘTA

W dzieciństwie naszym zimę spędzaliśmy zwykle w Elizawietgradzie.

Znajdowała się tam szkoła muzyczna Neuhausów, w której uczyli się Felcio i Katot, Harry Neuhaus i siostra jego, bliska i miła nam Tala, Nula i Stasia, Madzia, Nulka Kruszyńska, Janusia i Artur Taube, i ja. — Przeszły przez nią zresztą wszystkie chyba dzieci z bliższej i dalszej rodziny.

W Elizawietgradzie spędzaliśmy też nieraz święta Bożego Narodzenia.

Już długo przed wilią rozpoczynał się ruch przedświąteczny. Wielkie zakupy słodyczy i bakalij, tajemnicze, ozdobnie wiązane paczki, wynoszone przez Bazylego z ośnieżonych sanek, którymi przyjechała z miasta mama.

Dnia pewnego zjawił się pęk opłatków od księdza Bayera.

Później przychodził obładowany listonosz i przynosił nam z poczty pudową skrzynkę. Były to cukierki, przysyłane nam rokrocznie na święta przez Kukielów z Petersburga.

Otwierało się skrzynkę z namaszczeniem, my zaś staliśmy wokół stołu, oszołomieni obfitością sypiących się z torebek karmelków i kolorowych pomadek.

Wraz z czerwonym z mrozu listonoszem i tą wielką paką cukierków, przez otwarte drzwi wejściowe triumfalnie i radośnie wchodziły święta.

Wkrótce też rozpoczynały się emocje, narady i wybieranie przez pannę Clémence robótek, które miałyśmy ofiarować mamie, papie i babuni.

Szare, udręczone robótki, w dniu wilii wyprane „od ręki", odzyskiwały swą pierwotną kolorowość; obejrzawszy je z dumą, skradałyśmy się po cichu do sypialnych pokojów, aby je włożyć pod właściwe poduszki.

W dzieciństwie nie mieliśmy nigdy choinki. Iglaste drzewa były w okolicy naszej nieznane. Podarki wkładało się więc pod poduszkę.

Po uroczystej wilii, z wielką ilością siana pod obrusem, z kutią i opłatkiem, wszyscy, dorośli i mali, zdążaliśmy z biciem serca do naszych łóżek, aby oglądać podarki.

Zaczynało się zwykle od babuni.

Unosiliśmy triumfalnie poduszkę z jej łóżka. Ukazywał się pod nią stos podarków i dziecinnych robótek, za które babunia ucieszona dziękowała każdemu z osobna, tuląc nas mocno do piersi.

Tak się składało, że babunia i każdy z nas miał zawsze to, co najbardziej mieć pragnął.

Nie zwierzaliśmy sobie wzajemnie naszych życzeń, a przecież krążyły one w powietrzu, jak białe świąteczne gołębie. I tyle ciepła i radości szło od tych najtrafniej spełnianych pragnień, od tych uścisków i podziękowań.

A później schodziło się na dół do kuchni i pralni.

I tam łamano się opłatkiem i wręczano służbie podarki.

Ściskaliśmy się ze ślepą Zosią i Stefanem kucharzem.

Stary Bazyli, troszkę pijany, wzruszony i łzawy, paradował w pięknym nowym surducie.

A dwa domowe pinczery, Świerszcz i Czardasz, sztywne dziś i wyniosłe w swych kolorowych kokardach, dreptały za nami, biorąc udział w ogólnej radości, to znów wspomniawszy jakieś dawne porachunki, wpadały na siebie z impetem i nie bacząc na świąteczny strój, gryzły się pod stołem cicho i zajadle.

Po wilii schodzili się goście bliżsi i dalsi. W tym dniu zresztą „dalszych" nie było. Każdy każdemu był bliski i każdy był mile widziany. W salonie pełno było ludzi, życzeń i przyjaźni.

Papa i stryj Marcin w otoczeniu ciotek i wujów opowiadali anegdoty, z których najgłośniej śmiał się kochany ksiądz Bayer, popijając ze znawstwem reńskie wino.

Młodzież, skupiwszy się po kątach, rozprawiała zawzięcie. Ktoś z kimś flirtował, ktoś komuś wyznawał swą miłość, ktoś zapewne cierpiał trochę.

A wśród tego rozbrzęczanego jak pszczeli rój tłumu krążyły onieśmielone, suto obdarowane dzieci, którym dziś nie kazano iść wcześnie spać.

Siadały grzecznie na fotelach i ściągały cierpliwie góry słodyczy, których im nikt nie bronił.

Nagle ktoś z młodzieży, Felcio najczęściej, siadał do fortepianu i uderzał kilka taktów kolędy.

Wówczas milkło wszystko. Goście podążali z cicha ku fotelom i kanapom, młodzież okrążała fortepian — i z dziesiątka piersi zrywał się radosny, muzykalnie na głosy rozbity chór:

Wśród nocnej ciszy...

Oczy słuchających pełne były światła i łez.

Coś się wspominało i czekało się na coś.

Po salonie niosła się szeroko złota od świateł i ciepła od gorących serc kolęda.

A z wyżyn nieziszczalnego zstępowało pomiędzy nas dostojne i dziecinne — szczęście — garnąc wszystkich pod promienne swe skrzydła.

Później spędzaliśmy święta w Tymoszówce.

Śniegu owej zimy oczekiwało się długo.

Nad ziemią, posiwiałą i twardą jak żelazo, zwierały się posępne, purpurowe zachody, pozostawiając ją na pastwę czarnych, przepastnych nocy i bezlitosnych wiatrów.

Szczękała też i dygotała od suchego mrozu, modląc się o śnieg łaskawy drewnianym klekotem zesztywniałych z zimna gałęzi.

I wreszcie dnia pewnego mroźne, dalekie niebo zaciągnęło się szarą wełną chmur — i stało się bliskie i dobre.

A w sinym zmierzchu gasnącego dnia tańczyć poczęły olśniewające, wielkie jak kwiaty jabłoni, płatki śniegu

Radość ogromna zaparła nam dech.

A rano świat był błękitny i biały w cukrowej bajce szronu.

W domu i na dworze zrobiło się świątecznie i pięknie nad wyraz.

I w śnieżystych wspaniałościach tej najśliczniejszej zimy nadeszły święta.

Wówczas zapragnęliśmy mieć choinkę.

Wyszukano ją w ogrodzie, gdzie rosło z trudem wyhodowanych kilka świerków.

Była drobna jak dziecko i trzeba ją było postawić na stole.

Jakże szydzić z niej musiały rozłożyste orzechy i lipy, patrząc w okna.

Ale dla nas była najmilsza.

Ubraliśmy ją zabawkami własnego pomysłu, gdyż ozdób choinkowych w Kamionce nie było.

I po raz pierwszy pod nią złożyliśmy podarki.

Patrzyliśmy na maleństwo ze wzruszeniem i chciwie wciągaliśmy w nozdrza zapach wątłych gałązek, obwieszonych jaskrawością świątecznych ozdób.

Po wilii śpiewaliśmy kolędy, w których wyciągali wraz z nami melodię Sontorek i mechanik Lewicki.

Nazajutrz rano przyszli ośnieżeni parobcy ze wsi, przebrani w czerwone kubraki i papierowe hełmy, i w staroruskim języku recytowali nam długie wiersze, rodzaj jasełek zapewne. Poruszali się przy tym drewnianymi ruchami marionetek.

A później, pod iskrzącym błękitnym niebem urządzaliśmy spacery w kilkoro sań, z wujem Adamem i Karolem Rościszewskim i wracaliśmy czerwoni z mrozu, szaleni od pędu upojonych śniegiem koni, które nie chciały zatrzymać się przed gankiem, tylko parskając i potrząsając dzwoneczkami pragnęły lecieć dalej, lecieć wciąż.

Wieczorami bawiliśmy się zapamiętale.

Na Sylwestra piliśmy wino, tańczyliśmy w przebraniach i robiliśmy wróżby, pełni szalonej, beztroskiej radości.

A na tę niezapomnianą zimę, na wróżby — niespełnione — i na najpiękniejsze święta nasze, co noc sypał śnieg swój puch dobrotliwy i dygotała leciutkim brzękiem swych domorosłych ozdób nasza mała, malutka choinka.

POROZUMIENIE

W surowe, wietrzne, jesienne rano umarł papa.

Umierał z czarującą pogodą i prostotą, do końca kochający życie i myślący o drugich.

Tuż przed chorobą, która trwała zaledwie trzy dni, przepisywał nuty Katota. Była to zapewne Etiuda b moll, czy prelud.

Nikt nie powiedział papie, że umiera, więc może nie wiedział. — A może wiedział, lecz nie chciał mówić o tym nikomu, aby nie martwić tych, których kochał.

Mama czuwała przy nim do końca i uśmiechała się do niego rozdzierającym, pełnym otuchy uśmiechem, trzymając go za rękę, w której nie czuło się już pulsu.

Myślała tylko o nim, o tym jedynym, który przez długie lata był dla niej wszystkim — a teraz odchodził, aby więcej nie wrócić.

Nie myślała nigdy o sobie — i teraz więc znalazła siłę, aby się uśmiechać do końca... Nie chciała przyczyniać mu cierpienia.

Dopiero później złamał ją ból.

Pamiętam nieskończoną, męczeńską drogę, gdy Felcio i Katot, oficjaliści i chłopi na przemian nieśli osiem wiorst trumnę na ramionach.

Pamiętam mamę skamieniałą w okrutnym bólu.

Nulę i Stasię w grubej żałobie.

I żałosny, milczący tłum ludzi za trumną.

I długi szereg powozów, w których konie stąpały ostrożnie, powstrzymywane drżącymi rękoma furmanów.

A ponad tym ogromnym smutkiem i żałobą, nad tym łamiącym serca odejściem — sine, zimne cienie jesieni, niosące się z wiatrem po zamarłej ziemi...

W jakieś dwa tygodnie później siedzieliśmy ze starszymi wokół stołu w jadalnej sali.

Gości było wielu. Krewnych i znajomych, którzy zjechali się na pogrzeb i pozostali czas jakiś.

Wszyscy byli smutni.

Nam dzieciom dano chałwy i kazano iść bawić się do drugiego pokoju.

Postanowiliśmy bawić się w bandytów, okradających pociąg.

Madzia, wygłosiwszy w odpowiedniej chwili stworzony na swój użytek ponury wniosek: „Ja jestem starsza, więc prędzej umrę" — podniosła falę współczucia w mym sercu i zdobyła najwydatniejszą rolę bandyty.

Michał był konduktorem, przecinającym bilety i występującym w obronie pasażerów, ja zaś musiałam się zadowolić bierną i melancholijną rolą ograbianej pasażerki.

Wcisnęłam się w kąt kanapy i zamknęłam oczy.

— Odjazd! — wrzasnął Michał, gwizdnął przeraźliwie i począł cmokać wargami, naśladując bieg pociągu.

Starałam się wyobrazić sobie, że jadę pociągiem, ale po chwili zatonęłam w niewesołych myślach i zapomniałam o zabawie.

Wtem rzuciła się ku mnie Madzia, ściskając w ręku drewniany nóż do rozcinania papieru:

— Krzyczże! Czemu nie krzyczysz? — syknęła mi w ucho scenicznym szeptem.

Poczęłam jęczeć boleśnie, a Michał, wyskoczywszy z przeciwnej strony, w obronie prawa i sprawiedliwości rozpoczął walkę z Madzią.

Wtem drzwi otworzyły się gwałtownie i ktoś niecierpliwie nakazał nam ciszę.

Zawstydzeni umilkliśmy natychmiast i zabrawszy kolorowe ołówki poszliśmy rysować przy stole w jadalnej sali.

Dorośli patrzyli na mnie surowo i niewyrozumiale, gniewni o to, że „mogę tak hałasować, gdy papa umarł tak niedawno".

A Katot nie mówił nic. Milczał i patrzył na mnie głębokim, błękitnym spojrzeniem swych łagodnych oczu.

Przed wieczorem namówiono mamę, oniemiałą z bezsennej, mężnie tłumionej rozpaczy, aby się poszła położyć w jednym z dalszych pokoi.

Pozostali przeszli do sypialni rodziców.

Rozmawiano półgłosem, przeglądając gazety.

Ja położyłam się na łóżku mamy, stojącym w ciemnym kącie pokoju.

Było mi źle... tak okropnie źle.

Mamy nie było przy mnie. Mama, która była zawsze dla wszystkich i dla każdego wyłącznie, była dziś pogrążona w „swoim" bólu. Wiedziałam, że jej ból jest najświętszy i dziś nie mam prawa szukać u niej samolubnie pociechy dla siebie.

Odwróciłam się do ściany, a poduszka moja była mokra od łez.

Uczułam się nagle bardzo samotna w swym osieroceniu i tęsknocie za papą.

Zwinęłam się wokół mego dziecinnego bólu, jak robak wokół haczyka wędki.

Płakałam w sobie bez ruchu i drgnienia. Nie znosiłam współczucia — i nie chciałam za nic, aby oni, ci dalecy i swymi sprawami zajęci starsi, wiedzieli, że cierpię. Chciałam być sama w swoim własnym świecie, zamkniętym dla ich, jakże często nie pojmujących oczu.

...I wówczas od grona „starszych" oderwał się Katot.

Nieznacznie podszedł ku mnie i ucałował mnie mocno i długo w mokry, odwrócony ku poduszce policzek.

Zrozumiał mnie.

Sieroctwo moje rozwiało się, jak zły sen... Katot wszedł w mój świat.

NIANIE

Różne kategorie dzieci w Tymoszówce niańczone były przez różne nianie.

Najsławniejsze były:

Baba Hanna, kwiat pedagogów niania Juroska i ślepa Zosia.

Wszystkie one miały swe specyficzne cechy, swe zabawne dziwactwa i swoją indywidualną pedagogię — i wszystkie kochały dzieci.

Najmilsza niania Juroska. Prawdziwa niania z bajki.

Pamiętam ją z tradycji rodzinnej i widziałam gdzieś jej fotografię: ciemne jeszcze, gładko zaczesane włosy, a na nich czepeczek z czarnej koronki, korale na szyi i luźny kaftanik na obficie marszczonej spódnicy.

Nianię Juroską dzieci ubóstwiały. Była władcza, stanowcza, łagodna i pełna taktu. Umiała w dzieciach w sposób zawsze właściwy wzbudzić ambicję i poczucie winy i władała umiejętnie i użytecznie duszami swych wychowańców.

Była nieprzebraną skarbnicą bajek i przysłów. Była przy tym bardzo inteligentna i swoiście dowcipna. Z jej drwiących, zawsze trafnych obserwacyj śmiano się nieraz serdecznie.

Kiedyś po wieczorze muzycznym, na którym śpiewała ciocia Żania, ktoś zapytał nianię Juroską:

— Prawda nianiu, jak pani Zaleska ładnie śpiewa?

Niania odpowiedziała z uznaniem, patrząc na wysoką, tęgą postać cioci Żani:

— Prawda, proszu pani. Ałe bo i jest' z czoho huknuty.

Jedną słabostkę miała doskonała niania Juroska.

Było to dziwaczne marzenie, które zresztą mogła uskutecznić w każdej chwili: skorzystania choć raz z pokojowej ubikacji. Przez szacunek jednak „dla państwa" chodziła do oddalonego o kilkadziesiąt kroków pawiloniku w ogrodzie.

Jakaż była rozpacz i obraza niani Juroskiej, gdy świeżo przybyła klucznica Sikorska, bez żadnej złej myśli, skorzystała z tejże pokojowej ubikacji.

Mama zastała nianię Juroską we łzach.

— Dlaczego niania płacze? — zapytała ze współczuciem.

— Proszu pani — odparła niania, szlochając — ja desiat' hod służu i szcze nykoły tam ne buła, a Sikorska tilki szcze pryjichała, ta wże i rozsiłaś — zakończyła z oburzeniem.

Mama, zrozumiawszy, o co chodzi, nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Nianiu, przecież i wy sobie możecie tam chodzić, ile wam się podoba, nikt wam tego nie broni — zapewniła zrozpaczoną nianię.

Na tym kwestia gabinetowa została wyczerpana i nastała między rywalkami dyplomatyczna zgoda — ale nie lubiły się już, zdaje się, nigdy.

Baba Hanna była niegdyś mamką Katota.

Dumną była ze swego wychowańca, który był bardzo piękny, i z Katotem na ręku stawała na wjazdowym ganku, gdy tylko zajeżdżali goście.

— Pochwalcież, panie, detynu — prosiła, podając Katota gościom, zanim zdążyli wejść do domu.

Mama niejednokrotnie robiła jej za to wymówki, tłumacząc, iż nie wypada tak się gościom narzucać.

Ale babie Hannie nie łatwo było coś wytłumaczyć.

Ustępowała na pozór, lecz następnym razem, gdy tylko ujrzała zajeżdżających gości, wychylała się nieubłaganie z krzaków bzu, otaczających podjazd:

— Pochwalcież, panie, detynu...

Baba Hanna zbierała wokół siebie wszystkie dzieci i wszystkie biegły do niej z radością, chociaż była prosta i niewykwintna.

Siadała z nimi na trawniku przed oficyną:

— Sidajte, dity, rozskażu wam skazku — zapraszała.

I zaczynało się o siwym koniu i odważnym Kozaku, o mądrym chłopie i diable rogatym i w końcu najmilsza bajka o łakomej kozie:

— Oj ja koza dereza...

A potem:

... — Bihła czerez hrebelku, chwatyła wody kapelku, bihła czerez mistoczok, chwatyła werbowyj łystoczok...

Bajka była nie nowa, ale taka kochana — i dzieci słuchały jej zawsze z zachwytem.

Pewnego dnia zjechało dużo gości i dużo „cudzych" dzieci, a wraz z nimi dwóch Francuzów guwernerów.

Dzieci domowe i przyjezdne napełniały dwór dzikim hałasem. Francuzi, wdawszy się w gawędę z domową Francuzką, zapomnieli o swych pupilach.

Baba Hanna, spokojna i ironiczna, krążyła tu i ówdzie i doglądała nieznacznie Francuzów i dzieci.

W pewnej chwili uważała za stosowne przywołać do porządku wyniosłych guwernerów, wskazując na szalejące dzieci:

— Ej chrancuzy, wy tut parle parle, a tam dity hołowy sobi pokrutiat'.

Później Katot dorósł, a baba Hanna postarzała.

Mieszkała niedaleko dworu z synem Łuką, przezwanym we wsi „Stukonóżką" dla swej drewnianej nogi.

I co roku, gdy Katot przyjeżdżał latem do Tymoszówki, nazajutrz zjawiała się baba Hanna. Obejmowała Katota za szyję i całowała w oba policzki.

— Katuńciu mij, a możeb ty mini jakiś czerewyczki najszoł — prosiła.

Baba Hanna miała dziwną inklinację do trzewików Katota. Myślę, że sobie otworzyła handel męskim obuwiem, Katot bowiem obdarzał ją hojnie.

Jedną parę trzewików kładła baba Hanna na nogi, a inne unosiła z sobą w niewiadome.

Lubiliśmy bardzo babę Hannę i żałowaliśmy jej, gdyż syn jej Łuka był dla niej niedobry. Bił ją, a w końcu wypędził ją z domu.

Wówczas „Katuńcio" opłacał jej komorne w osobnej chacie, gdzie mieszkała sobie wygodnie.

Umarła już w czasie wojny.

Ale najdłużej mam w pamięci — i najbliższą była naszemu sercu najstarsza z niań, niania mamy, ślepa Zosia.

Biedna Zosia! Doktór w szpitalu w Hołcie, lecząc ją nieostrożnie na jakieś ostre zapalenie powiek, wypalił jej oczy lapisem.

Przyjęła to z bohaterską pogodą i spokojem, z właściwym prostym ludziom fatalizmem. I wprędce zastąpiły jej oczy wyostrzone niesłychanie inne zmysły.

Po swym nieszczęściu przyjechała do Tymoszówki i zamieszkała u nas na stałe.

Była bardzo stara i siwa, ale pełna jeszcze energii i życia.

Mieszkała w oficynie i dozorowała piorące kobiety. Wystarczyło jej wziąć w rękę sztukę bielizny, aby wiedzieć, do kogo należy.

Toteż nieraz odkładała na bok grubą lnianą bieliznę, którą baby przynosiły z sobą, aby ją wyprać ukradkiem, i mówiła surowo:

— Zaberit' ce, ce ne nasze.

A baby odkładały natychmiast na bok swoje koszule, patrząc z zabobonnym strachem w oczy „Titki Zosi", — oczy, które wiedziały.

Ślepa Zosia wiedziała wszystko. Do niej najpierw dochodziły wiejskie sensacje. Ona rozsądzała zawiłe kwestie, mocną ręką trzymała piekarniane dziewczęta, słuchała plotek i dawała rady.

Nie podnosiła nigdy głosu, który miała z natury cichy i jakby ochrypły. Ale bano się jej ogólnie, lubiono i szanowano ją.

Nie chciało się wierzyć po prostu, że ślepa Zosia nie widzi, tak znakomicie orientowała się we wszystkim. Mówiono też o niej na wsi:

— Titka Zosia znajut, titka Zosia baczyły.

Od tego nie było odwołania. Titka Zosia widziała i mówiła zawsze prawdę.

Lubiłam chodzić z Gamą do pralni, w której królowała ślepa Zosia.

Siadałam na stole pod oknem i wciągałam nieraz za sobą Gamę, aby ją uchronić od ataków faworytki Zosinej, rudej kwoki, mającej swe gniazdo pod stołem. Kwoka, zawsze obrażona, złym okrągłym okiem śledziła zdenerwowaną Gamę, aby móc ją dziobnąć możliwie najboleśniej.

Było jasno, zacisznie i pachniało świeżym chlebem. Muchy łaziły sennie w cieple niedużego okna, a ślepa Zosia opowiadała swym ochrypłym głosem nieskończone historie z dawnych czasów: o „panu baronie" i „pani baronowej" i o „naszej pani", gdy była jeszcze mała. Był to dla niej temat niewyczerpany, gdyż przywiązana była do dziada Karola i do babuni Misiuni, a mamę, którą wyniańczyła, kochała najbardziej.

Ślepa Zosia umarła po krótkiej chorobie. I piękny miała pogrzeb.

Był wóz zaprzężony w dworskie konie, ubrany zielenią i kwiatami z ogrodu. Była moc chorągwi i chóralne śpiewy. Był diak i pop w złocistej riasie. Była obfita stypa z rytualnym słodkim ryżem — i mnóstwo ludzi, którzy zazdrościli titce Zosi „harnego" pogrzebu.

Na grobie Zosi, na cmentarzu postawiono krzyż dębowy. Był on tak wielki i wysoki, że widać go było z daleka, gdy się mijało cmentarz, dojeżdżając do wsi.

Ale pralnia zrobiła się nagle mała, pusta i smutna.

I długo, długo nie lubiłam tam chodzić.

LEKCJA

Byłam spóźniona z historii i musiałam się w końcu do niej zabrać.

Siedziałam znudzona nad książką i gryząc ołówek patrzyłam sennie w okno, za którym płakała monotonnie jesienna szaruga.

Było mokro, szaro i nieznośnie.

Cierpliwe strużki deszczu spływały od rana po zmętniałej szybie, dzwoniły rynny, a na klombie kiwały się monotonnie osowiałe krzewy berberysu, zdobne tu i ówdzie w wypełzłą czerwień zwiędłych jagódek.

Pod oknem przebiegła kuchenna dziewczyna w świcie narzuconej na głowie. Spod krótkiej spódnicy migały czerwone kolana, a wysokie buty z cholewami chlapały miękko po grząskim błocie.

Na kredensowym ganku szumiał nastawiony samowar — i ktoś wracający z ogrodu tupał mocno, otrząsając kalosze z błota i przeklinając psią pogodę.

Pochyliłam się nad książką, która ględziła sucho i bezbarwnie o wędrówkach ludów i upadku cesarstwa rzymskiego.

Krótkie zdania następowały po sobie rytmicznie i twardo, jak uderzenia linią po stole, zgrzytały mi jak piasek w zębach i wcale nie chciały wchodzić do głowy. Były zimne i brzydkie, jak ta uparta jesień za oknem.

Wtem w sennej ciszy korytarza usłyszałam charakterystyczny, nierówny trochę krok Katota.

Wszedł do pokoju i pochylił się nad moją książką.

— To okropnie nudne — powiedziałam ze smutkiem i wskazałam fioletowym od ołówka palcem nieszczęsny ustęp.

— To nie jest nudne — odrzekł z uśmiechem — posłuchaj tylko.

Usiadł naprzeciw mnie, rzucił pobieżnie okiem na podsuniętą mu książkę i oparłszy głowę na dłoni, w której pomiędzy drugim i trzecim palcem tkwił nieodstępny papieros — mówić począł.

Jakże doskonale znał historię! Lecz jak śmiesznie wyglądał teraz suchy, szkolny ustęp, mówiący tak niewiele o rzeczy — tak pięknej.

Słuchałam z otwartymi szeroko oczyma, olśniona blaskiem, który bić począł z ubogiej, szkolnej książczyny w natchnionym wykładzie Katota.

...I w to szare, chłodne popołudnie zstąpiła w mrok pokoju słoneczna legenda — o jasnowłosych, straszliwych Gotach, posępnym Attyli i tragicznym, pełnym godności zgonie rzymskiego cesarstwa.

A w tę zapierającą dech opowieść wpadały raz po raz nieomylne daty, jak białe graniczne kamienie, znaczące wielką drogę wzniesień i upadków, zwycięstw i niedoli.

Raz powiedziane, zapadały mi w pamięć głęboko i pozostały tam do dziś, związane na zawsze ze wspomnieniem olśniewająco pięknej bajki Katota.

Zmierzch zapadł już dawno. Kwadranse gubiły się w mroku — a ja siedziałam zasłuchana, z wypiekami na twarzy — patrząc w natchnione Katotowe oczy.

Tego wieczoru nie mogłam — i nie chciałam już myśleć o niczym innym.

I gdy wysłano mnie spać, śniłam przez noc całą tę wzruszającą legendę.

Huczał mi w uszach do rana mocny, bojowy krok nieubłaganych jak przeznaczenie Wandalów i tętent dzikich koników Attyli — i szczęk broni konających mężnie rzymskich legionów — i świeciła na nieznanym widnokręgu daleka łuna, w której wstawał mroczny, straszliwy świt średniowiecza...

A w tym koszmarnym chaosie raz po raz migała mi twarz Katota i cichy jego głos, skandujący swoją słoneczną opowieść.

Jest to ustęp historii, który ze wszystkich pamiętam najlepiej.

MUZYKA

Dom tymoszowiecki gościł nieraz latem przyjaciół, którzy ściągali do Felcia i Katota z gwarnych gościńców świata.

Do Tymoszówki przyjeżdżali: Gucio Iwański, Stefan Spiess, wielki znawca i amator muzyki — i Ficio, wierny towarzysz, z którym łączyły Katota wspólne wysokie dążenia i umiłowania.

Częstym gościem w Tymoszówce był również Artur Rubinstein, wnoszący w zaciszny dom tymoszowiecki hallo szerokiego świata, gwar, muzykę, hałaśliwe pokery i zabawne anegdotki.

Był egoistą w sposób czynny i radosny. Absorbował sobą wszystkich. Wrzało w nim szalone, wesołe życie.

Był twardy, bezwzględny i przyjacielski. Nie podobna było nie poświęcać mu uwagi i nie śmiać się z jego dowcipów.

Ogrywał Katota w pikietę, pastwił się nad partnerami w pokerze, którzy z olśniewającym fullem w ręku tchórzyli nieraz przed jego mizernym, zuchwale licytowanym streetem.

Był też częstym towarzyszem moich konnych spacerów.

A rano zamykał się w wielkim salonie i ćwiczył gorączkowo II Sonatę fortepianową Katota. Miał ją grać

na koncertach w Niemczech jesienią — śpieszył się więc i wyrywał ją, strona po stronie, Katotowi spod ręki.

Studiował tę sonatę godzinami, w sobie właściwy sposób, mrucząc do siebie z zachwytem, cały oddany jej sprawie, wkładający w nią mocny swój talent, wdzięk i radość życia.

A w głębi ogrodu, w malutkim swym domku, zwanym przez nas kompozytornią, wykuwał ją Katot w porywający, młodzieńczy kształt — pracował bez wytchnienia nad jej wykończeniem.

Z trudem udawało mi się go namówić na partię tenisa przed śniadaniem; po paru setach odkładał na ławkę rakietę i uchodził śpiesznie w swą samotność.

Znikał nam z oczu na cały dzień. Przywołany gongiem na obiad, jadł go w zupełnym prawie milczeniu, zapatrzony chłodnymi oczyma gdzieś daleko, ponad głowy siedzących przy stole.

Śmiech i rozmowy nie dotyczyły go — przelatywały mimo jak rój wesołych trzmieli.

Gdy godziło w niego zapytanie, na które koniecznie musiał dać odpowiedź, odpowiadał na nie ze zwykłą uprzejmością, lecz powoli i nie zaraz, jak gdyby do tego pytania powracał z daleka, jak gdyby przebijał się doń z trudem przez gąszcz swych własnych myśli, odgradzających go od świata.

Przez cały ten czas był jak gdyby obok życia — obok ważnych i wesołych tymoszowieckich spraw.

I wreszcie pewnego popołudnia, gdy w mych wędrówkach z Gamą po ogrodzie zajrzałam ostrożnie przez otwarte okno kompozytorni, ujrzałam Katota siedzącego bezczynnie przy biurku, odchylonego na poręcz krzesła,

z rękami splecionymi pod głową. Patrzył, jak zawsze, daleko przed siebie, ponad świat.

— Skończyłem sonatę — oznajmił mi znużonym głosem.

Serce zabiło mi radosnym zdumieniem.

— Cieszysz się pewnie — powiedziałam głupio i nieśmiało.

— Jestem tak zmęczony, że nawet nie odczuwam radości — rzekł ze swym łatwym, niewesołym uśmiechem.

A w kilka dni później słuchaliśmy ze wzruszeniem sonaty Katota, granej w całości po raz pierwszy przez pobladłego z zapału Artura.

Codziennie wieczorem po herbacie zasiadał Artur do fortepianu.

Gdy letni wieczór gasł poza cerkiewką, a po znużonym upałem niebie wędrował chłodny i czujny księżyc — zapalano lampę z żółtym abażurem na okrągłym stole w salonie.

Z otwartych okien salonu biła w niebo tajemnicza i cudowna „Barkarola" Chopina, lub „Polonez fis moll", idący przez świat — jakże samotny w swym opanowanym bólu — i zachwiany nagle żałosnym wspomnieniem rozdzierającego mazurka.

A czasem wypełniał salon romantyczny Brahms, lub migotliwy Albeniz. Kołysała się wśród orzechowych drzew za oknem kolorowa i upojna, powracająca wciąż, jak pytanie o miłości, „Szeherezada".

Paliły się żarliwym chłopięcym natchnieniem „Wariacje" na temat ludowy Katota — i szalał w drewnianym swym bólu żałosny Pietruszka.

Mieszkańcy tymoszowieckiego domu na dźwięk muzyki wpełzali do salonu, jak węże czarowane pieśnią zaklinacza.

Siadali skuleni na okrągłej sofie w rogu pokoju, kładli się na skórze mrówkojada przed kominkiem, grupowali się po kątach.

Cichło wszystko pod władczym zaklęciem muzyki — a zaczarowany dom, trzeszczący, stukający i dzwoniący po nocach, przycichał również, jak gdyby wszystkie wędrujące po nim duchy przylgnęły twarzą do szyb, chłonąc w milczącym zasłuchaniu tajemny czar wiekuistej sztuki.

W Tymoszówce znalazł się też pewnego lata Paweł Kochański.

Zatrzymał się na jeden dzień tylko, przed wyjazdem swoim do Moskwy.

Był pełen życzliwego wdzięku, był prosty i wesoły.

Przyjechawszy niespodzianie pewnego rana, wysypał jak z rękawa moc anegdotek, zdążył zapoznać się z domem i ogrodem, ludźmi i psami, które były nim oczarowane.

I spędził z nami jeden niezapomniany wieczór, w ciągu którego grał niezapomnianie „Mity" Katota.

Cóż można powiedzieć o nim, którego już nie ma...

Był naprawdę wielki w życiu i w sztuce — i tym dotkliwsze jest o nim wspomnienie, że go już nie ma.

Pamiętam go, gdy stał ze swym Stradivariusem w ręku w kącie salonu — taki drobny i taki natchniony — i więził nas wszystkich, znieruchomiałych w głuchym milczeniu czarem porywającej swej gry.

Katot siedział przy fortepianie.

Stojąca w rogu salonu lampa rzucała jasne światło na Katota i obrzeżała ciemną sylwetę Pawła złotą aureolą.

Szlachetny dźwięk jego skrzypiec potężniał i rósł księżycową falą przypływu — to znów układał się w jakieś niebiańskie pasaże i tryle, biegnące jak szmer srebrzystej strugi po śpiewnych strunach.

Słuchacze, skuleni po kątach, zatracili się w przestrzeni i czasie, zahypnotyzowani mocą czarodziejskiej gry Pawła.

Noc była gorąca i cicha, tylko topole i lipy szumiały srebrnie i tajemniczo.

Wszystko spało dokoła rzeźwym snem spracowanego lata.

A dom tymoszowiecki przez otwarte swe okna tchnął muzyką.

Muzyka była jego mózgiem i sercem. — I dziś, gdy dom już nie żyje, może jeszcze nocami, na pustym szmacie ziemi, gdzie stał niegdyś — jak okręt samotny na falach eteru — unosi się dusza jego — i gra...

GOŚCIE

Najbliższym naszym sąsiadem był Karol Rościszewski, zwany „białym" dla swych blond włosów.

Mieszkał w Romanowie, będącym właściwie drugą częścią Tymoszówki, po tamtej stronie stawów.

Posiadał duży dom piętrowy, w którego salonach odbywały się niejednokrotnie zabawy i wieczory taneczne. Gdyż Karol, wesoły i pełen niewyczerpanych pomysłów, był stałym towarzyszem naszych letnich imprez.

W Bundurowie mieszkali rodzice Karola, ciocia Stefcia i wuj Adam, przemiły starszy pan z siwym wąsem, którego pasją, prócz koni, były różnokolorowe papugi, a miał ich kilka. Hodował też z amatorstwem dziwaczne płazy, których ozdobą był krokodyl, wyrostek kilkunastoletni, ćwierćmetrowej długości. Mieszkał samotnie w akwarium.

Był to mizantrop wyniosły i pełen pogardy dla otoczenia, na które kłapał wrogo swą dziecięcą, utkaną drobnymi kłami paszczęką.

Oboje wujostwo, weseli i pełni prostoty, brali czynny udział w naszych spacerach i piknikach i wraz z mamą, ciocią Myńcią i ciocią Helą oraz przygodnymi widzami stanowili wdzięczną i niezawodną publiczność naszych przedstawień.

Oddalona o osiemnaście wiorst Kosara wujostwa Franciszkostwa Rościszewskich, którą objął po ich śmierci syn ich Edzio, słynna była z gościnności.

Gościnne i miłe były również domy: Marianostwa Kozakowskich w Iwangrodzie, Adziostwa Krasińskich w Regimentarzówce, Kotiużyńskich w Ositniaczce i Stasia Rogowskiego w Hołykowie.

Byliśmy wszyscy zżyci z sobą, tym bardziej, iż czuliśmy się dość odosobnieni w naszych rozrzuconych na kresach majątkach, otoczonych zwartym kołem przez lasy, grunta i cukrownie właścicieli Rosjan. Była to liczna w okolicy rodzina Dawydowych.

Przyznać muszę, iż byli to ludzie mili i wykwintni. Polityką nie zajmowali się wcale, a dla sąsiadów swych Polaków mieli wiele sympatii i przyjaźni.

Mówiliśmy z nimi zawsze po francusku, gdyż przez wysokie poczucie delikatności w naszym domu nie używali nigdy rosyjskiego języka.

Znacznie od nas oddaloną Humańszczyznę znaliśmy mało.

Katot odwiedzał tam czasem swych przyjaciół.

Jeździł do Ryżawki Augusta Iwańskiego i do Zarudzia Józefa Jaroszyńskiego.

Tam też napisał swój „Koncert skrzypcowy" i „Mity". Do Tymoszówki przyjeżdżał nieraz latem miły towarzysz naszych zabaw i nastrojów, Jaroś Iwaszkiewicz.

W ogóle, latem w Tymoszówce było rojno i gwarno.

Nie było prawie dnia, aby nie turkotał powóz lub szaraban przed gankiem.

Przyjeżdżano na partię tenisa, na podwieczorek, na wieczór muzyczny, na zabawę.

Czasem, zasiedziawszy się dłużej, goście zostawali na noc.

Mama wydobywała wówczas z przepastnej gdańskiej szafy w korytarzu świeżą pościelową bieliznę i naradziwszy się z niezbędną Kielą umieszczała gości, zależnie od „wieku i urzędu", w jednym z pokojów w domu lub w oficynie.

Przyjezdni „panicze", eskortowani przez Ostapa, niosącego nesesery i świece w lichtarzach, wędrowali zwykle na noc do oficyny.

W gościnnym pokoju w oficynie mieszkały stale dwie żaby.

Jedna z nich miała wrośnięte w grzbiet brązowe wróble piórko, na drugą ktoś, wyganiając ją ze świecą w ręku, kapnął niechcący stearyną.

Chłopcy, nocujący w oficynie, znali je dobrze i co wieczora odbywała się ceremonia wypraszania za próg „żaby z piórkiem" i „żaby ze stearyną".

Obie wynosiły się urażone, lecz gdy nazajutrz rano uchylono drzwi do ogrodu, powracały znowu — i nie było ostatecznie sposobu wysiedlić ich na stałe.

Poza tym w oficynie było zacisznie i przyjemnie. Nie było tak groźnie nocą, jak w dużym domu, i spało się tam doskonale.

Czasem ogarniał nas i naszych gości szał zabaw.

Urządzaliśmy wówczas improwizowane przedstawienia i szarady.

Wszyscy brali w nich udział, więc jako widzowie pozostawały zwykle mama i ciocie. Nieliczna to była publiczność, lecz życzliwa i skora do braw.

Do gwarnej kolacji na werandzie zasiadaliśmy w kostiumach i zabawa trwała nieraz do świtu.

Czasem, gdy byliśmy w poważniejszym nastroju, urządzaliśmy wieczory muzyczne, na których grano i śpiewano do późnej nieraz nocy.

A dom tymoszowiecki zdawał się rozszerzać i pęcznieć gościnnością.

Drżał od śmiechu i tańców, karmił i poił swych rozbawionych gości.

A gdy zabawa lub wieczór muzyczny przeciągnęły się za długo, zgrzybiały pinczer Świerszcz, nie chcąc rozstawać się z towarzystwem, z szumem i hałasem wciągał w zębach siennik swój do salonu i układał się na nim w kącie z ciężkim westchnieniem.

KATOT I HARRY

Pewnego popołudnia przyjechał do Tymoszówki kuzyn nasz, Harry Neuhaus.

Harry, najmilszy przyjaciel, pełen czaru.

Przyjazd jego był zawsze świętem w Tymoszówce. Był on nam tak bardzo bliski — a przyjaźń jego była niezawodna.

Gorąco kochał Katota i mówił mi nieraz, że trudno by mu było wyobrazić sobie rozłąkę z nim na długo.

Lecz życie, niepytane, rozstawia ludzi, jak pionki na szachownicy.

I dziś Harry jest daleko.

Ale to nic. To nic, że nie widziało się go tak dawno. Harry pozostanie nam bliskim na zawsze. Prawdziwa przyjaźń nie zna czasu i przestrzeni — i nie myli się nigdy.

Z Harrym rozumieliśmy się najlepiej i prowadziliśmy gorące dysputy o muzyce, sztuce, o wszystkim zresztą, o czym mówić było warto.

Harry, genialny pianista, był muzyczny w całej swej istocie. Był czuły jak sejsmograf na najlżejsze drgnienie ludzkiej duszy. — I był nieomylny w dźwięku jak kamerton.

Gdy myślę o Harrym, muszę o nim zawsze myśleć muzycznie, chociaż jego olbrzymiej inteligencji dostępne były wszelke dziedziny życia i sztuki.

Jego jasne włosy kryły doskonałą czaszkę człowieka wysokiej kultury. Myśl jego była bystra jak błyskawica. Była w nim niewidziana potęga natchnienia obok głębo-

kiego sądu o ludziach i pobłażliwej, niebolesnej ironii, jeśli ludzie byli mali i źli. Uznawał konieczność ich istnienia. Nie potępiał ich, a zraniony przez nich, krył się jak perła w swej muszli, w abstrakcyjnym pięknie sztuki.

Gdy dzienny upał przygasł nieco, wyjeżdżaliśmy z Harrym konno na pola.

Wędrowaliśmy pod głębokim granatowym niebem, wśród rudej pszenicy, kołyszącej się śpiewnie pod łagodną falą wieczornego wiatru, marszczącego lekko jej powierzchnię.

Zakurzone basztany wygrzewały w słońcu swój owoc dobrotliwy: potężne, pękające od nadmiaru słodyczy kawony i chropawe melony o mocnym zapachu.

Z rzadka wyrastał wśród pól kurhan samotny i olbrzymi, pamiętający czasy Chmielnickiego. Wspólna mogiła kozackiej braci i rycerskich kresowych zagończyków.

W złocistym od słońca kurzu mijały nas chłopskie wozy, zaprzężone w duże, dobrze utrzymane konie, wlokące się nieśpiesznie drogą, z miękkim skrzypem kół.

Gdzieś w dali naszczekiwał jednostajnie pies, a łaciate krowy szły nam naprzeciw, poruszając łagodnym pyskiem i leniwie oganiając się od much.

Czasem jeździliśmy konno do lasu, zamykającego widnokrąg charakterystycznie kulistą linią liściastych drzew.

W ich zielonej bujności próżno było szukać smukłej linii świerku, lub zwietrzałej czerwieni sośnianych pni.

W lesie pachniało ziołami i wilgocią. Wysokie po pas dzwonki, rumiany i jakieś nienazwane bodiaki czepiały się ubrań wesoło, zarastały leśne ścieżki, deptane kopytami koni, podnosiły się bez trudu i stały znów zwartą gęstwiną wśród traw.

Słodko szeleściła jasna leszczyna, a rozparte szeroko brzosty, klony i dęby drgały szaleńczą radością drobnego ptactwa.

Lecz jakże straszno było w chmurne noce, gdy gasło łaskawe słońce, a w wysokie, tajemnicze niebo bił władczy, ponury śmiech sowy samotnika.

Wówczas szumiącym borem szła groza.

Wjechawszy w chłodny mrok lasu, wiązaliśmy konie u drzewa, kładliśmy się na polanie i przez pachnącą sieć zwierających się nad nami kwiatów patrzyliśmy w zamyśleniu na białe obłoki, żeglujące po błękitnej głębinie niebios.

Jakże piękny był świat!

Powróciwszy z przejażdżki, z nieodstępną Gamą u pięt, szliśmy ogrodem w dół, do kompozytorni, aby wyciągnąć Katota na spacer.

W głębi ogrodu migał nam z daleka bielą swych ścian mały domek z gankiem na słupkach, obrosłych winoroślą. Jesienią dawała ona drobne grona o małych, słodkich jagodach.

Latem spędzał w nim Katot cały prawie dzień.

Widzieliśmy go już z daleka, gdy siedział w otwartym oknie, w białej tenisowej koszuli, pochylony nad nutami. A czasem dochodził nas urywany dźwięk fortepianu, gdy przegrywał krótko parę taktów.

Katot podnosił na nas zmęczone oczy.

Wracaliśmy z dalekich dróg, z gorących pól, opici słońcem, radością i przestrzenią. A Katot siedział co dzień do piątej po południu pochylony nad stołem w swej kompozytorni.

Lato mijało go z uśmiechem, postawiwszy mu pod oknami kolorowe malwy na straży. — A on siedział niezmordowanie, pełen zewnętrznej pogody, kryjącej jakże nużące nieraz chwile głębokiego zmagania się nakazem mocnej swej woli, w twardym szukaniu wykuwający nowe wciąż drogi swej wysokiej sztuce.

Codzienne beztroskie życie zaczynało się dla Katota dopiero od piątej wieczorem.

Wtedy to szedł z nami na spacer, lub pozostawaliśmy jeszcze chwilę w kompozytorni.

Na prośby nasze Katot z ołówkiem w zębach zasiadał do fortepianu i grał nam swe świeżo skomponowane szkice, dodając objaśnienia i robiąc ołówkiem poprawki.

Były to wówczas, pamiętam: „Nokturn" i „Tarantella", „Metopy" i „Maski".

Słuchaliśmy w milczeniu i kochaliśmy je — a Harry wpatrywał się z płonącą twarzą w ołówkowe hieroglify „Metopów" i śpiesznie zabierał je do „przegrania".

Wieczorem Harry grał w wielkim salonie do późnej nieraz godziny.

W jego subtelnych, wszystkowiedzących rękach lśniły przyćmionym blaskiem surowe, mocne w swym pięknie „Metopy".

I tryskały barwą cudowną rzeźbione, jak maurytański portyk, drobiazgi Debussy'ego.

I odsłaniał swe głębie nieśmiertelny Bach.

Harry czarodziej głosił swą prawdę — a my chłonęliśmy ją oszołomieni, z bijącym mocno sercem — i często z oczyma pełnymi łez.

Senne, zroszone kwiaty na klombach pachniały odurzająco.

Chór natchnionych żab zawodził nad stawem.

...A za oknem, uciszywszy swe ptaki, stała nieruchomo zasłuchana noc.

CIOCIE

Ciocia Myńcia Zbyszewska, siostra papy, spędzała zwykle lato w Tymoszówce.

Zajmowała biały pokoik, znajdujący się za gabinetem Felcia.

Umiała zawsze tak go urządzić, że było przyjemnie w nim siedzieć.

Z ciocią w ogóle było przyjemnie. Była pogodna i wesoła. Łatwo ją było rozśmieszyć. A śmiać się umiała tak serdecznie, aż jej niebieskie oczy zachodziły łzami.

Była też zawsze jak najlepszej myśli i w wątpliwościach i niepokoju przychodziło się do niej po pociechę.

— Ciociu, jak ciocia myśli?

Ciocia podnosiła oczy znad roboty lub znad książki i zdejmowała z nosa pince-nez. Zastanowiwszy się chwilę, odpowiadała z niezachwianą pewnością:

— Nie niepokój się, zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Jej wesołe oczy pełne były niekłamanej otuchy i musiało się jej uwierzyć. Ta otucha promieniała wokół niej dobroczynnym światłem i sugestionowała niejako szczęśliwy wynik sprawy.

Nigdy nie usłyszało się z ust cioci Myńci przykrego słowa. Kochaliśmy ją bardzo i znana była ogólnie pod nazwą cioci Optymisi.

Jednocześnie z ciocią Myńcią przyjeżdżała z dziećmi, Michałem i Nulką, ciocia Hela Kruszyńska, siostra mamy.

Ciocia Hela była łagodna i bała się wielu rzeczy, a zwłaszcza wściekłych psów i złodziei.

Miała w zapasie mnóstwo sensacyjnych, zwykle tragicznych anegdot, które opowiadała z przejęciem, lecz nie wiadomo dlaczego w sposób tak zabawny, że słuchając ich, wszyscy mimo woli zaczynali się śmiać.

Przejmowała się wszystkim, była pesymistką i przewidywała zwykle rzeczy groźne i ponure. Lecz jej pesymizm rozpływał się, jak bańka mydlana, w częstym serdecznym śmiechu, którym nie zawsze łaskawe życie darzyło ją w Tymoszówce.

Życie to narzuciło jej zapewne ów sztuczny pesymizm, lecz nie umiała się doń dostroić jej ufna, pełna słodyczy dusza, która kwitła i promieniała w Tymoszówce wśród bliskich jej ludzi.

Gdyż byliśmy jej bliscy — i ona nam.

Przylgnęła do niej żartobliwa nazwa cioci Pesymisi, którą przyjęła do wiadomości z łatwym swym uśmiechem, jak wszystko, co pochodziło z Tymoszówki.

Lubiła niezmiernie zwierzęta. Leczyła skaleczone wróblęta i karmiła psy włóczęgi, a rozpieszczonemu bocianowi, który złamawszy kiedyś skrzydło zamieszkał w Tymoszówce, w jesieni łowiła siatką na motyle żaby w kałuży, aby nie zamaczał nóg w lodowatej wodzie.

Lgnął do niej bocian sybaryta, lgnęły psy i dzieci, a służba witała ją serdecznym uśmiechem.

Do Tymoszówki przyjeżdżała też czasem ciocia Józia Szymanowska, druga siostra mamy i żona brata papy, stryja Marcina.

Bohatersko zniosła cios prawie nad siły, gdy ubóstwiający ją i ubóstwiany przez nią mąż, pełen uroku i inteligencji stryj Marcin, umarł nagle na balu, który wydawali oboje w siedzibie swojej, Krzywym Rogu.

W swej pogodnej żywotności podniosła się z tego ciosu, jak podnosi się zdeptana twardym butem losu roślina.

Była bezbronnie dobra i pełna niezmąconego humoru i niezachwianej wiary w ludzi, którzy zawiedli ją nieraz.

I ona również w swym znużeniu i smutkach, którymi nie lubiła obarczać drugich, chroniła się z radością w zacisze tymoszowieckiego domu.

Ciocie brały gorliwy udział we wszystkich naszych przeżyciach.

Martwiły się najlżejszym naszym niepowodzeniem i cieszyły solidarnie naszą radością.

Z duszą na ramieniu, ale pełne ochoty jeździły z nami na „kawalerskie" spacery, pomagały drylować nieskończenie nudne porzeczki, wspólnie z nami szyły kostiumy i prezydowały wraz z mamą na balach, na których siedziały zwykle do rana, rozbawione, zapatrzone w tańczącą młodzież.

Przed nimi rozgrywano wyścigi i konkursy tenisowe.

One grywały nam do tańca, przy czym ciocia Hela miała repertuar liryczny, najczęściej walce z operetek, a udziałem cioci Myńci były skoczne oberki i mazury.

Dom tymoszowiecki witał ciocie z radością i żegnał je z żalem.

Gdy wyjeżdżały jesienią i pustka osiadała w ich pokojach, było nam smutno.

Były przecież nieodłączną cząstką Tymoszówki i tak wiele przeżyliśmy razem.

Nie wiem, czy ciocia Pesymisia pamięta jeszcze swe tymoszowieckie walce, które grywała po nocach do wtóru naszym lekkomyślnym, roztańczonym nogom.

Ja je pamiętam — i nieraz poprzez rozkołysane tanga i slow foxy mignie mi nagle, jak promień słońca, wzruszająca melodia jej dalekiego walczyka lub dziarskiego mazura cioci Optymisi.

FELCIO

Gdy byłam mała, mój duży brat Felcio napawał mnie głębokim szacunkiem. Kochałam go i dumna byłam, gdy zwracał się do mnie. A gdy mając trzy lata, głęboko rozcięłam sobie kolano o kamień i nie mogłam chodzić przez kilka dni, Felcio nosił mnie nieraz na ręku, uśmiechając się do mnie milcząco i przyjaźnie.

Felcio czynił dobro jakby niedbale, jakby mimochodem, nie chwaląc się — i nie żądając podziękowania.

Felcio był dumny i bał się współczucia. Nie skarżył się też nigdy i zwierzał się niechętnie.

W cierpieniu był pełen godności. Swe troski i zmartwienia znosił w zupełnym milczeniu. Zmagał się z nimi w bohaterskiej samotności, nie chcąc obarczać nimi innych. A gdy przeszły, nie chciał o nich pamiętać. Odrzucał daleko od siebie ich wspomnienie i był, jak zwykle, spokojny i pogodny.

Po papie odziedziczył dowcip i trafność obserwacji. Swe „kawały" opowiadał z komiczną powagą, która budziła tym weselszy śmiech słuchaczy.

Jego uwagi nigdy jednak nie były złośliwe. Tak bardzo nie lubił ranić drugich...

Wzruszał się łatwo i miał wiele ukrytego współczucia dla ludzi i ich cierpień, a jego żywe, rozumne oczy chmurne były czasem od ciemnego smutku.

W sądach swych był obiektywny i zrównoważony.

I skłonny był do gorącego zapału i uwielbienia.

Był w swych uczuciach wierny i lojalny — i nie zdradził nigdy przyjaciela.

Felcio przyjaciół miał zawsze i wszędzie.

Przyjaźń ludzką przyjmował z wdzięcznością. Lecz się o nią nie starał. Szła ku niemu sama, niezawodna i wierna. Wynikała z niego podświadomie, z jego szlachetnego do ludzi stosunku — i powracała doń pomnożona, rozbita na dziesiątki bliskich serc, które garnęły się do niego i chciały go strzec i chronić — i towarzyszyć mu przyjaźnie na stromym gościńcu życia.

W Tymoszówce przy gospodarstwie chodził Felcio w białej, letniej marynarce, wysokich butach i maciejówce.

Doglądał młocki i udręczony targował się z Żydami o ceny pszenicy.

Przekomarzał się z Felem Zbyszewskim, z którym kochali się bardzo i byli nierozłączni.

Naradzał się ze Stefanem ekonomem i wymyślał imiona dla ulubionych źrebiąt ze stadniny.

Brał gorący udział w naszych zabawach.

Doskonale i wesoło grał w bridge'a.

Był najmilszym kolegą i towarzyszem.

A odrobiwszy swą wiosenną i letnią pracę przy gospodarstwie, z zapałem oddawał się muzyce.

Muzykę uwielbiał. Była radością i najgorętszym umiłowaniem jego życia.

Komponował urocze pieśni i utwory fortepianowe. We wczesnej swej młodości napisał muzykę do operetki Fredry „Piosnka wujaszka".

Grał niezrównanie — i tyle serca wkładał w swoją grę. Miała ona dziwny czar szczerości i bezpośredniości.

Felcio nauczył nas kochać Chopina.

Nie wiedział o tym sam i nie myślał o tym zapewne. Wiele rzeczy przychodzi w życiu jakby mimo woli — i te są nieraz najważniejsze.

Usiadłszy przy fortepianie, Felcio ćwiczył nieraz godzinami. Powtarzał do znużenia jakiś ustęp, który gwoździem wbijał nam się w mózg.

Szliśmy, każdy za swoimi sprawami, i pozostawialiśmy go przy fortepianie, zapamiętałego w pracy, zgubionego w pustce wielkiego salonu.

A po paru dniach z rozproszonych, wyćwiczonych pojedynczo ustępów, składała się całość, pełna piękna i prostoty.

Jak miło było w jesienny wieczór zaszyć się z książką w ręku w kąt tuż przy fortepianie, słuchając muzyki Felcia.

Felcio grał — niezapomnianie — „Polonaise Fantaisie" Chopina.

A ja skuliwszy się na kanapie i oparłszy głowę o fortepian, słuchałam.

Muzyka opływała mnie zewsząd. Dźwięki w strunach narodzone biły w pudle fortepianu — jak serce.

A Felcio grał. Grał pełen natchnienia i wewnętrznej ciszy. Czuł się tak małym wobec wielkości muzyki.

Zapominał o sobie i o świecie całym.

Patrzyłam ze wzruszeniem na jego twarz myślącą i skupioną, w jego głębokie, ciemne oczy — i w jego duszę, którą widać było w tych oczach jak na dłoni — szlachetną i wielką w swym milczeniu, w swym najlojalniejszym zachwycie dla prawdziwej wielkości i piękna.

I kochałam go tak bardzo...

Felcio... mój brat...

FELCZEREK

Tymoszówka leżała dość daleko, bo o sześć wiorst od poczty, apteki i lekarza. Dlatego też dwór musiał się znać na leczeniu, udzielać pomocy w nagłych wypadkach i dostarczać lekarstw.

We wsi leczyła mama, początkowo sama, a w latach wojny ze mną na przemian.

Tymoszowieccy ludzie mieli do nas zaufanie, bo miałyśmy szczęśliwą rękę i dużo dla nich życzliwości. Ileż zapaleń płuc, gorączek i „robaków" uleczyła mama. Ile znowuż wrzodów i skaleczeń wygoiłam ja odpowiednimi środkami i czystością.

Pacjenci nasi niechętnie też widzieli „fachową" pomoc lekarską, zwłaszcza, że tym „fachowcem" był posępny partacz, doktor Zamiatin. Uznawał on jedynie pyramidon, a nie umiejąc go dozować, z zimną krwią wyprawiał na tamten świat swych chorych, między innymi kochanego naszego Grajbera i ciocię Walunię Rościszewską z Kosary.

Mieliśmy więc dość tych smutnych doświadczeń i unikaliśmy jak zarazy ładnego domku doktora Zamiatina.

Radziliśmy sobie sami, a w bardziej skomplikowanych wypadkach posyłało się do Kamionki po „felczerka".

Felczerek był to sobie Żyd kamioński, Kryczewski.

Miał zarost barwy starego ogórka i charakterystycznie pociągał nosem przy konsultacji.

A jednak, gdy wchodził do domu, zacierając ręce, wnosił z sobą uczucie spokoju i bezpieczeństwa.

W przedpokoju zdejmował zakurzony „bałachon" i poinformowawszy się o personaliach i objawach choroby pacjenta, wyrokował pogodnie:

— Eto ne beda.

Wprowadzano go do pokoju, przy czym zmuszano do umycia rąk.

Zabierał się do badania. Robił to umiejętnie i dokładnie, używając wcale dobrej słuchawki nowego systemu.

Po chwili prostował się i powtarzał, tym razem z kojącą pewnością:

— Eto ne beda.

Nie mylił się nigdy. Jego diagnoza była bardzo trafna, a leczenie zawsze odpowiednie.

Kończył jakiś kawałek uniwersytetu w Kijowie, a może po prostu tylko szkołę felczerską, ale te skąpe wiadomości medyczne uzupełniał ogromną intuicją lekarską i doświadczeniem.

Gdyż felczerek miał praktykę bardzo rozległą wśród dworów i wsi okolicznych, ku zgorszeniu doktora Zamiatina, któremu odbierał pacjentów.

Jego środki były proste, ale skuteczne.

W porę zastosowane bańki, pijawki, wizykatoria, woda Burowa, zioła, jodyna, nierzadko łatwiejszy zabieg chirurgiczny: nastawienie zwichniętej nogi lub rozcięcie wrzodu. Wykonywał zabieg ów może nie najczyściej, ale zręcznie i szczęśliwie.

Kiedyś wezwano go do Nulki Kruszyńskiej. Stwierdził, zdaje się, wówczas lekką anemię i stosował skutecznie zastrzyki arszeniku, przy czym pewnego razu, wygotowawszy sumiennie szprycę i igłę, w braku eteru poślinił palec i posmarował nim ukradkiem miejsce, w które miał wbić igłę.

Zastrzyki te jednak świetnie Nulce pomogły.

Widać z tego, że felczerek miał dużo prostoty, ale miał szczęście. I posiadał bardzo cenną w praktyce lekarskiej zaletę. Oto przyznawał się otwarcie, gdy czegoś nie wiedział, i radził wówczas sprowadzić lekarza z Kijowa, lub Elizawietgradu.

Lecz felczerek wiedział bardzo wiele. Stąd też jego „eto ne beda" wlewało niezmiennie otuchę w serca.

Raz tylko nie powiedział felczerek „eto ne beda".

Było to wtedy, gdy ciocia Myńcia zachorowała na wątrobę.

Siedziała tego dnia w fotelu. Była pełna otuchy. Miała 37,5° — i zupełnie dobry wygląd.

Sprowadzono felczerka ot tak sobie, „dla własnego spokoju".

Było to późną jesienią i w Tymoszówce byliśmy, prócz cioci Myńci i cioci Loli Gnatowskiej, we troje tylko, Katot, Nula i ja.

Felczerek, zbadawszy ciocię Myńcię, zasiadł z nami przy stole w bibliotece i milczał.

Patrzyłam na niego zdziwiona.

— Dlaczego pan nic nie mówi, panie Kryczewski? — zapytałam niepodejrzliwie.

Podniósł na mnie stroskane oczy.

— Dlatego, Sofia Stanisławówna, że trzeba sprowadzić rodzinę, z ciocią jest niedobrze — rzekł smutno.

Tejże nocy kochana, pogodna, nic nie przeczuwająca ciocia Myńcia — umarła.

PIEŚŃ O NOCY

O nie śpij, Druhu, Nocy tej.
Tyś jest Duch, a myśmy chorzy — Nocy tej!

Jak cicho. Inni śpią.
Ja i Bóg jesteśmy sami Nocy tej!
Jaki szum. Wschodzi Szczęście.
Prawda skrzydłem opromienia — Nocy tej!

Gdybym przespał aż do ranka,
Jużbym nigdy nie odzyskał Nocy tej!
Targowiska już ucichły...
Patrz na rynek gwiezdnych dróg Nocy tej!
Lew i Orion, Andromeda
I Merkury krwawo lśni — Nocy tej!
Wpływ złowieszczy miota Saturn,
Wenus płynie w złotym dżdżu — Nocy tej!

Bohaterem jest twój Duch — Nocy tej!
Zamilknięciem wiążę język,
Lecz ja mówię bez języka — Nocy tej...

Z dusznych arabskich nocy Tunisu, z rozżarzonych piasków Biskry, z księżycowych zaułków rozkołysanych dźwiękiem „zurny" — przywiózł Katot biały burnus arabski, w którym chodził rankiem do kąpieli, sandałowy olejek w rżniętym flakonie, którego jedna kropla wystarczała dla napełnienia zapachem pokoju — i przywiózł III Symfonię.

Wiózł ją, nienarodzoną jeszcze, ale już przeczutą poprzez dalsze etapy podróży: Włochy, Wiedeń, Zakopane — i pozostał z nią wreszcie sam w obliczu chłodnych gwiazd, migocących nocą w tymoszowieckim stawie.

Ucichły rozgadane targowiska Europy i Katot w dalekim jej zakątku, wśród milczenia uśpionych pól patrzył teraz „na rynek gwiezdnych dróg".

Z jakimże westchnieniem ulgi powrócił zapewne do swej kompozytorni w tę letnią, cichą noc, gdy ogród szumiał tajemniczo, a w gęstwinie przemykał bezszelestnie cień puszczyka, mocarza nocy.

Jak cicho — inni śpią.
Ja i Bóg jesteśmy sami — Nocy tej...

Jak piękną była dla niego ta noc. W wielkiej samotności tej drużby z Bogiem, w tej niewysłowionej godzinie, w której mówili z sobą bez języka, drobne ziarnko natchnienia, spoczywające w drogocennej rudzie wewnętrznej twórczej istoty — wytrysło nagle i olśniewającym deszczem dźwięków spadło na nutowy papier.

Gwiazdy wędrowały wysokie i chłodne ponad oknem kompozytorni. Wenus „płynęła w złotym dżdżu" — a w dalekiej muzyce gwiazd, w szumie uchylonego rąbka Wielkiej Tajemnicy tworzenia, wykwitła III Symfonia.

Jaki szum. Wschodzi Szczęście.
Prawda skrzydłem opromienia — Nocy tej!

Myślę, iż wówczas było to dla Katota szczęście. Zstąpiło na niego nieoczekiwanie w prawdzie natchnienia.

Po nocy przyszedł dzień. Zbudziły się z szelestem malwy pod oknem kompozytorni. Pod niebem wybuchnął oszalałym śpiewem oswobodzony z nocnej grozy skowronek. A pszczoły brzęczały uporczywie wokół Katotowej głowy.

Skryła się w głębi zbudzonych wód gwiezdna tajemnica tej jedynej nocy.

Pozostał Katotowi ciężki trud, który go pochłaniał przez długie miesiące — praca wydobycia na światło i nadania lotnej myśli trwałego kształtu.

Jakże mozolnie pracował w to pierwsze lato wojny 1914 roku — gnany wewnętrzną koniecznością, która kazała mu mówić o duchu i pięknie — zanim na długie lata piękno i duch wdeptane zostały w krwawe błoto.

Nie miał nadziei, aby pieśń jego przetrwać mogła rozpaczliwy krzyk mordowanego świata, aby mogła przebić kolczaste zapory i zwały młodzieńczych trupów, zalegające Europę — i przemówić do tragicznej, sierocej ludzkości.

Tworzył ją więc — dla nikogo — w ogromnym znużeniu i smutku.

Lecz nie mógł kłamać swej prawdzie — i tworzyć musiał.

I w cichej, małej kompozytorni, wśród czerniejącej już z dala burzy — rósł trud bezcelowy i piękny — rosła i potężniała błękitna pieśń o ciszy — i zalewała coraz szersze karty papieru mikroskopijnym pismem malutkich nut Katota.

— Piszę mą symfonię na wielką orkiestrę, jak największą — mówił mi, podnosząc oczy znad zapisanych kart — chcę nadać jej wiele blasku i dźwięku. A i tak przecież wykonana nigdy nie będzie... Niech pozostanie taka, jaką chcę ją widzieć w moim marzeniu.

I gdy to mówił, oczy jego były smutne.

...I z twardej konieczności tworzenia, z matematycznej logiki dźwięku, z tego beznadziejnego trudu i tragicznej pracy „dla nikogo" — powstało jedno z najgłębszych Katotowych dzieł o najpełniejszym wyrazie: „Pieśń o Nocy".

Po wielu latach ucichła najgłębsza tragedia świata. Uciszyła się nienawiść i zamknęły paszcze armaty —

a z zabitej młodości nowa młodość wyrastać poczęła, pełna nieuleczalnej nadziei i wiary.

I wówczas to pewnego wieczoru roku 1925 w wolnej Warszawie wykonano po raz pierwszy III Symfonię Katota.

O, jakże wielkie było to dla niego przeżycie — i jak blady był wtedy, gdy słuchał zmartwychwstałej „Pieśni o Nocy" — tej pieśni, którą ongiś skazał na zagładę.

Niewysłowiony czar tchnie z tej dziwnej pieśni, która trzyma publiczność w milczącym napięciu.

Na błyskotliwym tle instrumentów, ponad gwarnym targowiskiem świata, płynie natchniony głos człowieczy, mówiący o ogromnym szczęściu samotności — o dostępności prawdy, która „zamilknięciem wiąże język" — bo za wielka jest, aby o niej ludzką mówić mową.

...A ponad znieruchomiałą w zasłuchaniu salą krąży wspomnienie najcenniejszej nocy objawienia w małej, dalekiej kompozytorni, w usianym gwiazdami ogrodzie Tymoszówki — jednej z najrzadszych nocy, o której mówi Mevlana Djelaleddin Rumi:

Gdybym przespał aż do ranka,
Już bym nigdy nie odzyskał Nocy tej...

PINETTI

Pewnej jesieni, gdy Felcio wyjechał w interesach do Kijowa, a w Tymoszówce cicho było i pusto, Felo Zbyszewski z Katotem znaleźli w bibliotece odwieczny tom czarodziejskich figlów sztukmistrza Pinettiego, który w swoim czasie zadziwiał podobno pudrowanych markizów swymi niesamowitymi sztukami.

Katot zachwycał się abstrakcyjnie muzealnym zabytkiem, tłoczonym starym drukiem na pożółkłym papierze.

Stało w tej książce:

...„Yako Pinetti zdeymował s karku swą głowę, wywołuiąc admiracyą y przestrach zgromadzonych..."

Felo, bardziej utylitarny i przedsiębiorczy, postanowił przyswoić sobie ku rozrywce ewentualnych gości niektóre z przerażająco zręcznych sztuczek genialnego czarodzieja.

Zdjęcie głowy z karku nie udało się. Tkwiła uparcie w miejscu, uśmiechnięta, ożywiona parą wesołych oczu i okryta ciemną, falistą czupryną.

Felo postanowił więc sięgnąć w sferę bardziej dostępnych wyczynów mistrza.

Zajął na swój użytek gościnny pokoik w oficynie. Zaniósł tam maszynkę do elektryzacji, znalezioną na strychu, palnik spirytusowy, różne proszki, płyny, próbówki i flaszki oraz pięćdziesiąt jaj, które wyprosił u Kieli. Miały one służyć do sfabrykowania „yednego wyelkyego strusyego yaya" według wskazówek Pinettiego.

Po czym w skupieniu oddał się swej pracy.

Zarzucił konną jazdę, nie zjawiał się na tenisie, a w czasie podwieczorku był milczący i niezwykle tajemniczy.

Pytano go żartem:

— Cóż, Pinetti, kiedy pokażesz nam twe sztuki?

Felo toczył groźnie błękitnym okiem, nie bez słuszności podejrzewając drwiny, po czym znikał w swej „pracowni" i siedział w niej do wieczora.

A w domu pusto było bez niego okropnie, bo był wesoły, najmilszy i niezbędny.

Toteż modliliśmy się w duchu do pogodnego wieczornego nieba, aby się już raz skończyły te obiecujące eksperymenty.

I oto zostaliśmy wysłuchani w niezwykle szybkim czasie i w sposób nieoczekiwany.

Pewnego dnia w pracowni Fela rozległ się huk niesamowity, który usłyszano w domu.

Po chwili zjawił się Felo trochę blady, z opalonymi rzęsami i brwiami i z oparzoną ręką.

Oto, jak się okazało, wybuchła jakaś mieszanina chemiczna, którą Felo nagrzewał w celu ulepienia nieszczęsnego „yaya". Rozsadziła retortę i obróciła w gruzy magiczne wnętrze pracowni. Magik zdążył uskoczyć szczęśliwie, oparzywszy się tylko trochę.

Rzuciliśmy się na ratunek. Obandażowano Felowi rękę, po czym udaliśmy się całą gromadą na miejsce katastrofy.

Wśród okropnie cuchnącej ruiny pięćdziesięciu jaj i rozlanej wody walały się tu i ówdzie odłamki szkła, jakieś pudełka i skorupy oraz resztki rozbitej szyby. W progu stały zdenerwowane psy i nie śmiejąc wejść do środka szczekały cienko i hałaśliwie, obwąchując ukradkiem leżące bliżej wejścia skorupy.

Felo, zrezygnowawszy ze strusiego jaja, zwinął ostatecznie swój warsztat czarnoksięski, a kusiciel Pinetti powędrował z powrotem do bibliotecznej szafy.

Owocem długotrwałych wysiłków Fela w dziedzinie czarnej magii było kilka niezajmujących i naiwnych sztuczek.

W pewien długi wieczór listopadowy wykonali je obaj wraz z Karolem Rościszewskim przed skąpą publicznością, złożoną z Katota i znudzonej Gamy, którą umieszczono z paradą w jednym z foteli pierwszego rzędu.

GWIAZDY

Późną nocą wracaliśmy nieraz z Nulą i Katotem z Wierzbówki.

Kopyta koni dudniły rzeźwo wśród ogromnej ciszy. Czasem dźwiękła cicho uprząż, lub Anton zagadał półgłosem do koni:

— Hou dietki.

Czuliśmy się dziwnie samotni w ruchomej łupince powozu wśród wielkości śpiących pól.

Niebo leżało przed nami jak na dłoni w łaskawym swym ogromie, okrągłe, granatowe, zawieszone gwiazdami.

Czasem wypełzał na niebo obłok samotny i czarny i łykał gwiazdy jedną po drugiej, a po jego przejściu stawały w wilgotnym swym blasku jeszcze czystsze, bardziej olśniewające, piękne aż do znużenia.

Światło zodiakalne, tajemnicze i blade, stało na widnokręgu, łudząc nas świtem.

Cisza była coraz głębsza. — I w tej ciszy, w lekkim szumie porannego wiatru coś najpiękniejszego dziać się poczęło — to ustępowała nieznacznie pokonana noc...

Patrzyłam w czarodziejsko błękitniejące niebo — i chciałam wiedzieć, gdzie jest granica między dniem i nocą, jak przed zaśnięciem pragnie się wiedzieć, gdzie jest granica między jawą i snem — i nigdy uchwycić jej nie można.

A Katot, podnosząc oczy na mżący blask Syriusza, mówił o gwiazdach.

W Katocie miałam odpowiedź na wszystkie kwestie, które mnie zajmowały, i jego to kształcącym rozmowom ze mną moje wykształcenie zawdzięczam.

Katot pragnął zbadać i zgłębić wszystko.

Chłonął książki i rozważał systematy filozoficzne. Zachwycał się poezją i rozmyślał nad zawiłym pasjansem.

Tak jak papa, miał czas na wszystko i dla wszystkich. W każdej dyskusji umiał powiedzieć to, co trzeba, i w najdrażliwszej kwestii znalazł zawsze właściwe rozwiązanie.

Był dla mnie źródłem wciąż nowych odkryć i nowych radości. Jego zdanie było dla mnie jedynie miarodajne, a rozłąka z nim wytwarzała dotkliwą pustkę wokół mnie, której niczym nie mogłam zapełnić.

W rodzinie kochano go i nikt nie chciał go zranić.

— Miał smutne dzieciństwo — tłumaczyły ciotki, które go ubóstwiały.

Kuzynki patrzyły w niego jak w tęczę, a uparty, wszystkim pod włos idący Michał z jego zdaniem liczył się jedynie.

Dla sąsiadów naszych był Katot ośrodkiem zainteresowania. Zapraszali go z ukrytym lękiem, czy zechce przyjechać. A przecież był taki dostępny i prosty.

Obcy ludzie, nie zgłębiając zawiłych tajników jego wewnętrznej istoty, ulegali również czarowi jego dobroci.

Jedni ulegali, drudzy — tych było więcej — wyzyskiwali ją dla swoich celów.

A Katot w wiecznym warze twórczej myśli i w nieustającej pracy swego wewnętrznego ja, tak często umiał zapominać o sobie i myśleć o drugich. Oszukany sto razy, po raz sto pierwszy ufał ludziom i nigdy nie wierzył w zło.

Katot był bezbronny — i takim pozostał.

Lecz wówczas chronił go w swym muzycznym wnętrzu dom tymoszowiecki.

Dziś bije weń świat.

A Katot idzie przez życie — bezkompromisowy i do samozaparcia się lojalny — pod pozorami opanowania kryjący głęboką nieśmiałość.

Wielki samotnik w książęcym płaszczu swej po stokroć szarpanej dobroci...

I nie ma dzisiaj domu w Tymoszówce — błękitnej przystani, w której schronić by się mógł przed czarnym nurtem życia.

PSY

W Tymoszówce lubiano psy.

Kręciło się ich też we dworze sporo — swoich i obcych, niewiadomych włóczęgów, których wyganiano ospale, a nierzadko uczęstowano obiadem na „czarnym dziedzińcu".

Lecz najbliższe nam — i bardzo przez nas kochane — były „psy", para białych szpiców: Gama i Scherzo.

Były ogólnie znane pod nazwą „psów" i mówiło się do nich w trzeciej osobie:

— Czy psy będą jadły obiad? Czy psy chcą iść na spacer?

Pójść na spacer „psy" chciały zawsze. Wpadały w radosny szał na tę propozycję, przy czym radość ta objawiała się u Gamy szerokim uśmiechem i śpiewem pełnym wyrazu.

Oba psy należały początkowo do mnie. Ale widząc przywiązanie Scherza do Nuli, której deptał po piętach dzień cały, darowałam go jej. Nie mogłam zresztą uczynić inaczej, gdyż zazdrosna miłość Gamy do mnie nie znosiła obok siebie psiego rywala.

Gama kochała mnie niepodzielnie i despotycznie. Dumna i opanowana we wszystkich okolicznościach życia, wobec mnie traciła swą godność i warczała bezwstydnie, a nierzadko kąsała innego psa, Scherza nawet, gdy się do mnie zbliżył. Gryzła niemocno, lecz umiała nakazać szacunek dla siebie.

Psy zbliżały się też do mnie z lekką obawą, zerkając bokiem na Gamę, która w wiele obiecującym milczeniu pokazywała im zęby.

Gama była pełna wdzięku i poza swoją zazdrością o mnie, bardzo łagodna. Była puszysta i biała. W subtelnej mordce tkwiły duże, brązowe oczy o dziwnym wyrazie. Wyglądała naprawdę jak zaczarowana księżniczka i czasem, patrząc w jej „ludzkie" oczy, czekałam wprost na to, iż zrzuci nagle z siebie białe futro i stanie przede mną — wyzwolony z zaklęcia Kopciuszek.

Rozumiała każdy uśmiech i słowo i zdawało się, że przemówi lada chwila.

Tkwiła przy mnie nieodstępnie — dyskretna, taktowna i nie narzucająca się nigdy.

Gdy po wypadku z Rywalem nie mogłam spać z bólu pierwszej nocy z powodu opuchniętego kolana, Gama nie położyła się wcale na swym fotelu, lecz siedziała do rana wpatrzona we mnie, na podłodze u stóp mego łóżka i skomlała z cicha.

Gdy płakałam, wskakiwała na kanapę obok mnie i kładąc mi łapy na ramionach, lizała mnie z jękiem po twarzy.

Pewnego razu późną nocą przyjechałam do Tymoszówki po kilkudniowej nieobecności dorożką, nie zatelegrafowawszy o konie i nie dawszy znać o moim przybyciu.

Była trzecia rano. W domu całym było ciemno i okna przysłonięte szczelnie, jak głęboko uśpione oczy.

A na pustej szosie przed bramą wjazdową siedziała samotnie Gama.

Drobna, jak pęk białego puchu i zgubiona wśród ogromnego milczenia nocy, wiedziona nieomylnym instynktem miłości — czekała na mnie.

W domu Gama nie zrobiła nigdy żadnej szkody lub nieporządku i wstydziła się niezmiernie za inne psy, jeśli im się to przytrafiło.

Gdy pokazano jej wodę rozlaną na podłodze i pytano: — Nie wiesz, co to jest, Gamusiu? — pełna głębokiego wstydu chowała się pod krzesło i przeciągłym śpiewem opowiadała szeroko i długo o tym, że to nie jej wina i że nie ma pojęcia, skąd się to wzięło. Gama umiała śpiewem wyrazić szeroką skalę uczuć i śpiew jej był urozmaicony i pełen wyrazu.

Była tak rozumna, iż — rzecz nie do wiary — gdy zamknięto ją kiedyś przez omyłkę samą w domu, a musiała niezbędnie wyjść, instynktem umiała odnaleźć właściwą ubikację i zrobić z niej właściwy użytek.

Była ulubienicą wszystkich w domu.

Felcio i Felo Zbyszewski, którzy kochali ją bardzo, nauczyli ją bez wysiłku dwóch łatwych sztuczek. Wykonywała je uprzejmie i dość zręcznie, z wyrazem grzecznej nudy na wyrazistej mordce.

Z Katotem chodziła na spacer, a w czasie mej nieobecności sypiała ze Scherzem w Nuli pokoju.

Przy niezrównanych zaletach serca i umysłu — moralność jej była dość problematyczna. Przed przybyciem Scherza, jej legalnego małżonka, szczenięta Gamy były najrozmaitszej maści i kalibru. Nakrapiane, cętkowane, w prążki i paski, bure i żółte. Gama kochała je jednak po swojemu, chociaż wyraźnie wstydziła się ich przed nami. Jej brązowe oczy patrzyły na nas żałosne i trwożne, gdy oglądaliśmy urodzone w nocy potworki.

Głaskaliśmy ją wówczas i całując biały łebek, pocieszaliśmy ją:

— Bardzo ładne są twoje szczeniątka, Gamusiu. Będą z nich jeszcze śliczne psy, zobaczysz.

Była to towarzyska blaga. Lecz Gama wierzyła nam święcie. Uśmiechała się szeroko i wpadała w doskonały humor.

Miała ze swymi szczeniętami miękko wyściełaną budkę koło ganku i żadnemu psu nie wolno było zbliżyć się do budy.

Tylko Dar miał do tego prawo. Upatrzyła go sobie na niańkę. Gdy wychodziła na przechadzkę, jemu powierzała swe dzieci.

Olbrzymi Dar układał się na ziemi koło budy. Gama przyprowadzała mu szczenięta, które przewracały się niedołężnie po jego kudłatym ciele, piszczały wesoło i ciągnęły go za uszy i ogon. A Dar ogarniał je łapami, lizał i spoglądał na nie czule.

Po paru niezbędnych tygodniach pobytu z dziećmi, Gama powierzała je opiece domu i powracała do mnie z radością.

Uprawiała z zapałem sport myśliwski. Polowała na tchórze w inspektach i szczury, które pojawiły się pewnego roku w wielkiej obfitości.

Dusiła je z dziką zawziętością i nierzadko wychodziła z tych turniejów pogryziona, z pokrwawionym pyszczkiem, nie było jednak sposobu oduczyć jej walk ze szczurami.

Scherzo ze zręcznością kota łowił myszy. Czatował na nie godzinami, po czym zabijał błyskawicznym uderzeniem łapy.

W dowód miłości składał je Nuli w ofierze i umieszczał je w nocy na poduszce obok jej głowy. Po przebudzeniu Nula znajdowała nieraz zdechłą mysz na swym koronkowym jaśku, a Scherzo, który niecierpliwie oczekiwał jej przebudzenia, podchodził do niej bardzo dumny ze swego daru, wywijając puszystym ogonem.

Nula z krzykiem obrzydzenia zrzucała mysz z łóżka i oświadczała mu stanowczo:

— Scherzuniu, wiem, że mnie kochasz, ale to jest przecież okropne! Nie chcę już mieć zdechłych myszy na poduszce. Czy pies rozumie?

Scherzo był piękny i pełen godności. Kochał Nulę nieprzytomnie, gotów dla niej do największych ofiar. W jej obecności rzucał się z dziką odwagą na najsilniejsze psy, chcąc prawdopodobnie popisać się przed nią, a może bronić jej przed urojonym niebezpieczeństwem.

Upatrzył sobie jako przeciwnika Dara, największego z tymoszowieckich psów, i boksował się z nim przy lada okazji.

Dar, pies zacny i lojalny, oszczędzał Scherza i starał się nie używać w walce z nim olbrzymiej swej siły.

I Scherzo, pewien siebie, a przy tym naprawdę odważny, pozwalał sobie z Darem coraz bardziej.

W końcu bomba pękła. Dar zirytował się nie na żarty.

Zaczęło się od tego, że kucharz Jakow obdarzył go tłustą kością.

Dar, zasiadłszy przed kuchnią na czarnym dziedzińcu, zabrał się do niej z apetytem.

Wtem na dziedzińcu pojawił się Scherzo, wyświeżony i pięknie uczesany, i przystąpiwszy do Dara z pogróżkami, bez dalszych ceremonii polecił mu oddać sobie kość.

Oburzony Dar warczał głucho, przytrzymując kość łapą, i w końcu straciwszy panowanie nad sobą, pogryzł Scherza tak dotkliwie, że biedny psina omdlał.

Dar wówczas, ująwszy go delikatnie w zęby, wyniósł z czarnego dziedzińca i złożył na ganku, obok pokoju Nuli, zapowiedziawszy mu surowo, aby na przyszłość nie śmiał wtrącać się do jego spraw.

Byliśmy wszyscy bardzo zmartwieni i niespokojni. Sprowadzono weterynarza i Scherzo leżał przez parę dni opuchnięty, z szyją obandażowaną, doglądany poczciwie przez Gamę, która, gdy usłyszała jęk Scherza, przybiegała z drugiego pokoju, aby go polizać pocieszająco po żałosnym, gorącym nosku.

Scherzo, otrzymawszy naukę, nie zaczepiał więcej Dara. Miał w swej szlachetnej naturze wysokie poczucie

sprawiedliwości. Uznał też lojalnie swą winę i nie miał żalu do Dara. Co więcej, zawarł z nim solidarną przyjaźń.

Odtąd przy każdym spotkaniu trącali się nosem życzliwie i uprawiali razem sporty i spacery.

Gdy zimą wyjeżdżaliśmy z Tymoszówki, „psy" szalały z cichego bólu.

Pozostawały wówczas pod najżyczliwszą opieką Kieli.

Gdy powracaliśmy latem, „psy", nieprzytomne z radości, rzucały się nam w ramiona, niepomne krzywdy rozstania, mizerne z tęsknoty, zawsze kochające i wierne bez zastrzeżeń.

...Odchodząc z Tymoszówki, zabraliśmy „psy" z sobą. Uratowaliśmy je, bośmy je kochali — i bo były to najmilsze psy, jakie istniały kiedykolwiek.

Nasze tymoszowieckie „psy" — Gama i Scherzo.

DEMETER

Przechodziłam Sturm- und Drangperiode.

Przeżywałam wewnętrzne łamania się i walki, znane chyba każdemu, kto z okresu pogodnej wegetacji przechodził w okres myślenia.

Byłam zaabsorbowana ciężką pracą nowego patrzenia na świat.

Zachłysnęłam się przestrzenią, która nagle rozwarła się przed mymi oczyma — i czułam się prawie chora.

Nie mogłam nadążyć mym odkryciom.

I trzeba to było jakoś wypowiedzieć. Znaleźć jakiś most pomiędzy mną a światem, który rozpościerał się przede mną w swym ponurym przepychu ruchliwej myśli, drążącej jego głębie w swych chwilowych przejaśnieniach zapatrzonego w gwiazdy uczucia.

I wówczas zaczęłam pisać wiersze, których się zresztą wstydziłam. Nie zależało mi na tym, aby o tym wiedziano. Mówiłam sama z sobą i najlepiej się czułam w samotności.

Jednemu Katotowi chciałabym je była pokazać. Ale przed nim właśnie wstydziłam się najbardziej. Cóż wobec jego wysokiej muzyki znaczyły moje poetyckie wynurzenia!

W chwilach głębokiej pogardy dla siebie miałam nieraz ochotę je zniszczyć. Łaskawy los sam zresztą postarał się o to, gdyż zginęła mi ich większa część.

Lecz Katot przyszedł kiedyś do mnie sam. Usiadł sobie w fotelu, którego uprzejmie ustąpiła mu Gama — i zapytał:

— Może byś pokazała mi swoje wiersze.

Z uczuciem głębokiego zdumienia i wstydu wyciągnęłam zeszyt z szuflady i drżącym trochę głosem poczęłam czytać. Wiersze moje wydały mi się w tej chwili nieudolne i brzydkie. Pisałam je dlatego, że nie miałam innego sposobu wypowiedzenia się — a coś przecież powiedzieć musiałam.

A Katot słuchał w milczeniu i patrzył na mnie badawczo.

Od tego czasu wiedział o wszystkim, co piszę.

Każdy wiersz roztrząsaliśmy oboje z uwagą. Gdy chwalił wiersz, wiedziałam niezawodnie, że był dobry. Gdy wskazał mi miejsce, które zdaniem jego należało poprawić, bez namysłu stawiałam przy nim znaczek ołówkiem. Wiedziałam, iż gdy odczytam wiersz raz jeszcze, będzie mnie razić ten sam błąd. Katot miał nieomylny smak artystyczny i wielką intuicję.

Jakaż była moja radość, gdy kiedyś poprosił mnie Katot, abym napisała mu sześć tekstów do pieśni, nad którymi ma zamiar pracować teraz.

Postanowiłam zacząć w tej chwili.

Zabrawszy zeszyty, poszłam „na hamak".

Tam pracowało się najlepiej. Pszczoły brzęczały w niedalekiej pasiece i wilga skryta jak zielony owoc wśród gałęzi wyrzucała w niebo swe trzy okrągłe, kurantowe nutki.

Hamak kołysał się, jak czółno samotne na fali słonecznej ciszy.

W niedługim czasie miałam me teksty gotowe.

Nazwaliśmy je „Pieśniami Księżniczki z Baśni".

Katot pracował nad pieśniami gorączkowo, chcąc je wykończyć do jesieni.

Umiał sobie nakazać spokój i systematyczność w pracy, ale gdy zajął go jakiś temat, niechętnie pracę nad nim przerywał.

Przegrywał mi każdą pieśń, gdy tylko ją naszkicował, przy czym wymrukiwał półgłosem rozległą w swym cierpliwym smutku melopeję „Złotych Trzewiczków", lub wystukiwał palcem w wiolinie radosną koloraturę „Słowika".

A ja słuchałam pieśni tych z bijącym mocno sercem, pełna zdumienia i radości.

Gdy pieśni były na ukończeniu, wybrał Katot z mych wierszy dwa jeszcze: „Demeter" i „Agawe".

„Agawe" leży dotychczas w ołówkowym szkicu w tece Katota.

„Demeter" postanowił wykończyć od razu.

Lato uchodziło powoli z rozgrzanych pól, coraz bardziej rude i czerwone od pszenicznej i hreczkowej ścierni.

Spokojne, senne trochę powietrze pełne było kurzu i chrzęstu zboża i jękliwie skandowanego śpiewu młocarni.

W sadzie śliwkowym padały miękko na ziemię mirabele, węgierki i renklody, różowe, fioletowe i złote w rozbrzęczanym wieńcu łakomych os.

Gałęzie grusz, podparte drągami, roniły na przywiędłą murawę łaskawy nadmiar żółtych i szarych ber.

...A w tym czerwonozłotym, dojrzałym bogactwie szła błękitnym światem wyzwolona przez Katota Demeter, pieśnią i łkaniem wzywając młodzieńczą swą córkę.

...I nigdy malwy w oczach mych nie rosły barwniej pod oknem kompozytorni.

Nigdy niebo nie było bardziej wysokie i błękitne.

...I nigdy radość nie była mi bardziej dostępna, jak wtedy, w to gorące, złociste lato, kiedy naprawdę pracowałam z Katotem.

ZABAWY

Podczas żniw zabaw nie było.

Felcio, Felo, Karol Rościszewski i inni rolnicy, zmęczeni i zakurzeni, kładli się spać zaraz po kolacji, aby móc nazajutrz wstać wcześnie i zjadłszy szybko śniadanie, pojechać do żniwiarzy.

Konie były w ciągłych rozjazdach, a Sontorek martwił się, że mu zabierają „podziennych" z ogrodu.

Cała wieś wyległa na żniwa.

Pod łaskawą upalną pogodą, w drgającym od żaru powietrzu brązowi ludzie o mokrych od potu twarzach pracowali zawzięcie i mocno.

Zeskakiwało się z bryczki lub konia, mówiąc:

— Boże pomahaj.

— Spasybi — dziękowali żniwiarze.

Gawędziło się ze znajomymi babami i dziewczętami, które z zadowoleniem prostowały na chwilę zgięte plecy i kwartą popijały oszczędnie wodę ze stojącego obok wiadra.

Żniwiarka wolno przemierzała pola, kładąc za sobą z chrzęstem pszeniczne snopy, a gdzieś z dalszych łanów dochodził świegotliwy dźwięk ostrzonych kos.

Po żniwach, gdy na szczeciniastej ścierni stanęły sprawnym rzędzem kopy pszenicy, wypoczywano wreszcie.

Wypoczywali ludzie i konie.

A wieczorami, przed sklepem z monopolką, na drogach polnych i nad stawami, rozlegały się dźwięki bębenka, dzikie pohukiwania, śmiechy i śpiewy.

Była to w Tymoszówce pora wesel.

Z ukwieconych polnych dróg pomiędzy chatami wyłaniały się na szosę jaskrawe orszaki weselne, rozkrzyczane mocnym piersiowym śpiewem, podrygujące w takt zawrotnych pląsów harmonii i bębenka.

Na czele orszaku nowożeńcy, za nimi weselnicy: strojni parobcy i dziewczęta, opalone, rosłe i naprawdę piękne w swych haftowanych koszulach, barwnych spódnicach i wysokich butach z cholewami o czerwonych „odwrotach", dzwoniące obfitością korali i furkoczące pękiem kolorowych wstążek, uwiązanych z tyłu głowy.

Przed weselem para narzeczonych zjawiała się we dworze.

Dziewczyna, wyrecytowawszy formułkę zaprosin, podawała na haftowanym ręczniku korowaj weselny i kolorową chusteczkę.

Po tradycyjnym pokłonie w pas i dwukrotnym pocałunku w twarz składaliśmy narzeczonym życzenia i ofiarowywaliśmy im poczęstunek.

Była to również pora pożarów.

Ziemia, sucha i bujna nadmiernie, pokryta po wręby stertami słomy i kopami pszenicy, rozdmuchiwała chciwie najlżejszą iskierkę: ogarek papierosa rzucony na ścierń lub ogień rozniecony przez pastuszków w polu.

I nieraz wieczorami jaśniał na czarnym widnokręgu posępny blask łuny.

Patrzyliśmy nań z uczuciem jakiejś metafizycznej, łaskoczącej w gardle grozy.

A did Iwan stał stroskany obok nas, objaśniając:

— Ce pewno w Bałandyni horyt'.

Albo:

— Ce ma bud' skirda sołomy w Werbiwci, bo wełykij wohoń.

Po żniwach wypoczywali wreszcie i nasi chłopcy.

Pewnego ranka zjawiał się bryczuszką w swej maciejówce i zakurzonym „bałachonie" Karol Rościszewski — i rozpoczynały się narady.

Wówczas ogarniał nas nastrój podniecony i wyczekujący.

Nadchodził czas zabaw.

Szliśmy gromadą na strych.

Strych był obszerny, trochę ciemny i zawalony gratami, trzcinowymi meblami z ogrodu i kuframi. Były one pełne staroświeckich strojów, pamiątek i odwiecznych roczników „Kłosów" i „Biesiady Literackiej".

W jednym z roczników znajdowały się przedpotopowe romanse Ponçon du Terrail, z których jeden, ogromnie zajmujący, „Klub waletów kierowych", pochłanialiśmy wszyscy ukradkiem, z wielkim zainteresowaniem.

W jednym z okienek strychu osy zawiesiły swe szare, workowate gniazdo. U powały wisiała konopna przędza. Na podłodze, na zgrzebnych płachtach, suszyła się macierzanka, kwiat lipowy, rumianek i mięta.

Na strychu pachniało miodem, kurzem i ziołami, a słońce rzucało przez okienka jaskrawe słupy światła, w których tańczył obłąkanym wirem gęsty kurz.

Strych miał jedną wielką zaletę: można było przez jedno z jego okienek wydostać się na dach, a stamtąd na szczyt wielkiego orzecha, którego gałęzie kładły się na dachu. Zerwawszy garść najpiękniejszych orzechów ze szczytu, zsuwało się po pniu na ziemię — i już się było w ogrodzie.

Była to porywająca sztuka akrobatyczna, którą uprawialiśmy w dzieciństwie z zapałem.

W głębi strychu stał kufer, zawierający nasze teatralne przybory, kostiumy, szminki i peruki.

Znosiło się to wszystko na dół do pokoju i rozpoczynało się przebieranie, gorączkowe szycie i obmyślanie programu zabawy.

Ważny głos w tej kwestii miała Nula, pełna artystycznej inwencji i malarskiej fantazji. Uczęszczała do Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie i znała się świetnie na malarstwie i dekoracji. Do niej też zwracano się często o poradę i jej pomysły kostiumowe były niezrównane.

Wszystkie nasze kostiumy były stylowe w każdym prawie szczególe, czerpane z ilustrowanych bibliotecznych podręczników historii.

Pewnego dnia postanowiliśmy urządzić kabaret artystyczny na wielką skalę.

Nadawała się do tego najlepiej złożona z kilku sal suterena domu Karola Rościszewskiego.

Przezwaliśmy ją na tę okazję „Taverne à la Chauve Souris". W największej z sal oddzielono scenę firanką z czerwonego perkalu, ustawiono bufet z przekąskami i wielką ilość pojedynczych stolików na dwie lub cztery osoby. Służący nasi i Karola Rościszewskiego, niemniej od nas przejęci zabawą, występowali jako kelnerzy w jednakowych ubraniach i białych fartuchach.

Przygotowań było co niemiara. Rozesłaliśmy zaproszenia po całej okolicy. W międzyczasie szyto kostiumy i robiono próby.

W oznaczonym dniu zjechało się około pięćdziesięciu widzów, zaciekawionych szumnie reklamowanym przedstawieniem.

Czytali z uwagą ozdobnie malowane przez Nulę programy. Głosiły one:

Kwartet neapolitański. Włoskie piosenki w wykonaniu... (Nazw już dziś nie pamiętam.)

Słynny baryton... w swych najnowszych produkcjach.

Matelot, wykonany przez znaną parę tancerzy...

Wielka Panina — cygańskie romanse.

Żywe lalki.

Brzuchomówca.

Klown i Rudy.

etc., etc.

Przy fortepianie muzyk Loewenstein. (Był to zwykle Katot, który na naszych przedstawieniach, o ile nie brał w nich udziału, miał sobie powierzoną część muzyczną.)

Kwartet neapolitański przygrywał sobie na tenisowych rakietach, a Felo Zbyszewski, okropna Panina w rudej peruce, huczał barytonem pieśni cygańskie.

Barytonowi akompaniował na fortepiaie Jaroś Iwaszkiewicz, przebrany za kobietę. Nie znający go panowie z publiczności patrzyli trwożnie na ogromną pannę, zdumieni jej chłopięcą chudością i sentymentalnymi lokami.

Kabaret był zresztą naprawdę zabawny — zwłaszcza dla aktorów.

Sława naszych zabaw i przedstawień rozeszła się w okolicy.

— Gdzie pojawią się Szymanowscy i ich goście, tam pewna zabawa — mówiono.

Wkrótce potem rozesłaliśmy zaproszenia na nową zabawę. Tym razem miał to być cyrk.

Sklecono na ten cel obszerną drewnianą budę z estradą i tu rozstawiono stoliki dla gości, których zjechało się dwa razy więcej niż poprzednio.

Poprzebierani aktorzy zajechali z pompą drabiniastym wozem z płócienną budą, ciągnionym przez dwa białe woły.

Przed wozem paradowały na osiołkach Murzynki w czerwonych frakach, dwoje dzieci wybranych spośród gości. Były bardzo dumne ze swej niemej zresztą roli, a w ich umalowanych sadzą twarzyczkach błyskały, jak błękitne szkiełka, roześmiane oczy.

Wysypaliśmy się z wozu jaskrawym rojem i w braku trąby przy dźwiękach rogu zaczęło się przedstawienie.

Głównym numerem, dość naiwnego zresztą programu, była parodia opery „Faust". Opera odśpiewana została w wielkim skrócie, ale prawie bez błędu, z Felciem w roli Fausta i Nunem Zbyszewskim jako Małgorzatą, który w nieodzownej żółtej peruce odśpiewał przy kołowrotku wysokim falsetem arię z klejnotami, nie pomijając żadnej koloratury, przy czym widownia ryczała ze śmiechu.

Lato w Tymoszówce obfitowało również w szereg imprez drobniejszych jak: panoptica, kostiumowe szarady, konkursy tenisowe, reely paper, wyścigi itd.

O, jakże wówczas umieliśmy się śmiać!

Myślę, iż śmiech nasz, zrodzony w radości tych bezchmurnych lat, przetrwał w nas do dziś. Gdyż — chociaż odległą jest przeszłość i daleko od nas są ci, co umieli się bawić wraz z nami — i dziś jeszcze, gdy znajdziemy się razem, wytryska czasem, jak iskra z popiołu, nasz śmiech beztroski — śmiech, którym śmialiśmy się niegdyś...

JESIEŃ

Jesienią rozjeżdżali się goście, ucichał gwar i zabawy — i mierzchł i szarzał świat, chodzący dotychczas w splendorach pogodnego września.

W Tymoszówce stawało się wówczas zacisznie i miło.

Katot, opuściwszy kompozytornię, przenosił się do dużego salonu ze swą pracą, nad którą siedział, jak zwykle, do piątej po południu.

O tej godzinie ja z Gamą lub, jeśli chwilowo mnie nie było, Gama na własną odpowiedzialność z zegarową punktualnością dobijała się do drzwi salonu, aby uśmiechami i szerokim wachlowaniem ogona zachęcić Katota do spaceru.

W targane wiatrem siwe popołudnie szliśmy we troje na godzinną przechadzkę.

Jesienny zmierzch nadciągał z daleka i powoli.

Ze znoszonej wspaniałości lata opadały zwiotczałe strzępy.

Pod bladym, obojętnym niebem przemknęła czasem, jak wspomnienie, chwiejna nić babiego lata.

Tragiczne astry o nadwiędłych koronach rzucały na nieświeżą murawę fioletowoamarantowy blask swej bezsłonecznej, spóźnionej urody.

Drzewa sczerniałe i jakby wychudłe wiązały na czerwonym wieczornym niebie misterną sieć drżących na wietrze gałązek.

Czasem z odmiecionych na brzeg drogi stożków, pchnięte podmuchem wiatru, podrywały się nagle bure, lekkie liście grabów i topoli.

Biegły przez chwilę bez celu przed siebie, po czym wsiąkały pojedynczo w zgasłą czerwień klonowego listowia i utulone przez znękaną ziemię układały się ciche na wieczny sen.

Gama obwąchiwała je nieufnie, a później, zapomniawszy o nich, oszczekiwała hałaśliwie frasobliwe żaby lub ulegając myśliwskiej żyłce grzebała w ogołoconych grzędach dziury w poszukiwaniu myszy czy kretów.

Przybiegła na wołanie, umorusana ziemią wyżej nosa, i machnąwszy porozumiewawczo ogonem, pędziła dalej. Nurzała się w wilgotnej świeżości nie ściętej jeszcze kapusty i chodziła za jakimiś sobie tylko wiadomymi sprawami.

Pogrążeni w jednej z upragnionych przeze mnie, „kształcących" rozmów z Katotem, wracaliśmy dolną aleją nad stawem.

Na jego ołowianej powierzchni kołysały się miarowo i smutno wyleniałe kity oczeretów, siejące wokół jedwabny puch, a nad brzegiem trzęsły się bezradnie bezlistne już prawie wierzby i osiki.

Powróciwszy z ogrodu, Katot szedł do domu, gdzie zasiadał do książki lub pisania listów, a ja doganiałam na „czarnym dziedzińcu" mamę, która w grubym płaszczu i czapce na głowie konferowała z Kielą przed piekarnią.

Pastuch Kiryk pędził z pastwiska krowy, które zbaczały z drogi i ociągały się z wejściem do ciemnawej obory, nurzając po drodze wilgotne pyski w stojącym przy studni korycie z wodą.

Ostatnia z nich udawała taktownie, że nie dostrzega zaczepek Gamy i Scherza, które oszczekiwały ją z zapałem, obserwowane z drwiącą uciechą przez psy podwórzowe, chłepcące z wielkiej misy kolację przed kuchnią.

— Hej, hej! — wołał Kiryk na krowy. A z obory dochodził brzęk wiader i piskliwe nawoływania dziewcząt:

— Nuu, ustupyś!

Po niedługim czasie dziewczęta poczęły wychodzić z wiadrami pełnymi śnieżystej mlecznej piany — i jednocześnie prawie rozlegał się w mleczarni huk separatora, świdrujący uporczywie pachnącą dymem ciszę jesiennego popołudnia.

W otwartych drzwiach wozowni rymarz Aron kończył robotę, gawędząc z Tarasem, myjącym powóz przed stajnią.

Anton wyprowadzał parami do wodopoju podrygujące konie.

W piekarni widać było przez okno migocący ogień i ludzie schodzili się na kolację.

Na siwym od obłoków niebie gorzała, to gasła znów tajemnicza zorza wieczorna, jak gdyby ktoś uważny chodził z latarką po niebie i oświetlał po raz ostatni układający się do snu świat.

Wracałyśmy z mamą, gdy było już ciemno.

Po obiedzie kładliśmy pasjanse, a mama czytała nam głośno.

Czasem pytaliśmy mamy:

— Czy można dostać coś słodkiego?

Zjawiały się wówczas rożenki, owocowe serki i gruszki w cukrze.

A po wieczornej herbacie Felcio wymykał się do salonu i zasiadał do fortepianu.

Szliśmy wszyscy za nim. Ktoś dawał cichy rozkaz.

Po chwili na kominku w salonie palił się ogień, a my rozpraszaliśmy się po kątach, wpatrzeni w rozdygotane czerwone płomienie.

W mrocznym salonie snuła swą tragiczną bajkę Ballada f-moll Chopina, a długonose cienie o krogulczych szponach wędrowały bezgłośnie po suficie.

Obłąkany wiatr jesienny jęczał w czarnym ogrodzie, pukał w okna, skradał się wokół ścian i prosił z płaczem, aby go wpuszczono — wędrowiec bezdomny, błądzący po nocy.

Ale drzwi szczelnie były zamknięte i broniły nas podwójne okna.

I głusi na błagania jękliwego wiatru, wtuleni w zacisze naszego domu, chłonęliśmy w skupieniu odurzający czar muzyki i spokój niezapomniany tego pierwszego jesiennego wieczoru.

OSTATNIE LATO

Nadszedł rok 1917.

A wraz z nim przyszło lato — to ostatnie.

Lato, o którym się nie zapomni.

W owe upalne, słoneczne dni lata groza osiadła w przeczystych, dziecińistwem pachnących pokojach. Twarda chłopska groza o władczych, mocno stukających butach i niezrozumiale wrogiej twarzy.

I groza szła od podnieconych rozpraw na zebraniach przed gminą i od wieszczących burzę krzyków, które wprawiały w mocne bicie nasłuchające w domu serca.

A trwoga szła od cichych szeptów służby i od ciemnego nocą ogrodu, w którym mieszkała wroga tajemnica.

I od wielkich okien bez okiennic, których strzegła od lat wzajemna wesoła ufność i przyjaźń.

I od małego klucza w drzwiach wejściowych — małego, nieporadnego klucza, który dziś nerwcwa ręka co wieczór obracała w zamku — dwa razy.

A cierpienie stało wszędzie. Było w nas i wokół nas. Ogarniało każdą samotność, co nie umiała bronić się przed nim intensywną myślą lub zawziętą pracą. W czarną noc dławiło gardło z nieznaną siłą. A rano budziło się wraz z nami okrutne i czujne, tkwiące tępym gwoździem w bezbronnych już sercach.

I cierpienie ściągnęło szczupłą twarz Katota — milczące i zwarte osiadło w jego oczach.

Katot, jak zwykle, o nim nie mówił i krył się z nim, jak zwykle, w swej małej — ach, jakże drogiej dziś — kompozytorni.

I wówczas, w te krótkie, pełne grozy dni, powstała III Sonata fortepianowa i kwartet i 12 etiud na fortepian i wiele innych utworów i szkiców.

Jakże mało radości było w jego pracy, a jak wiele najgłębszej powagi i bólu.

Lecz gorzało w nim tragiczne natchnienie i nigdy chyba nie napisał tak wiele.

I pracował, pracował bez wytchnienia, jak gdyby pracę swą zakończyć chciał w domu.

Jak gdyby z jego promiennym wspomnieniem związać chciał ostatnie swe utwory.

Bo myślał, że będą ostatnie.

A wiedział przecież — i wiedzieliśmy wszyscy — że dni domu są policzone — i że nieuchronnie przyjść musi rozstanie.

Uchodziła już zeń od lat w słonecznych kątach zamieszkała radość.

Uchodziły zeń, po cichu nocami wywożone do miasta, stare pamiątki i druki.

Uchodził zeń niewysłowiony zapach dzieciństwa.

...A dusza darła się w strzępy.

I przyszło wreszcie — w różowy wieczór późnego już lata.

Krótkim błyskiem pogodnego zachodu zapaliły się za nami czerwone klony i żółte georginie na klombie — i zgasły nagle, jak sen.

Martwą szarością powlókł się staw.

Po raz ostatni otwarto nam bramę.

Ostatni raz przed gankiem zaturkotały koła.

A w domu ostatnie rozległy się kroki, jak uderzenia milknącego serca.

...A później — wszystko w nim zmilkło i zacichło — jak w sercu umarłego człowieka.

...A jego okna otwarte na zmierzch były jak oczy — już patrzące w wieczność.

ODEJŚCIE

Gama była chora.

Nie zwierzała mi się ze swych cierpień. Uśmiechała się do mnie, jak zwykle, podwinięciem czarnych warg i machaniem ogona.

Ale nie było w niej tej lśniącej, puszystej radości życia, jaką ma pierwszy śnieg w zimie.

Nie przynosiła patyczków i nie zapraszała mnie do zabawy. Na spacerze szła obok mnie powoli, ze zwieszoną głową i wlokącym się prawie po ziemi ogonem. Męczyła się tak łatwo, że nieraz musiałam nieść ją na rękach, wracając do domu.

Profesor weterynarii, mój stary przyjaciel, niezmiernie lubiący zwierzęta, do którego udałam się o poradę, zbadał starannie Gamę.

Dawała cierpliwie robić wszystko ze sobą, pewna, że przy mnie nic złego spotkać jej nie może.

Doktór orzekł, że potrzebna byłaby operacja, ale serce Gamy tego nie wytrzyma. Operacja zabiłaby ją zaraz, a cierpienie trwać może jeszcze długo i nie pogarszać się nawet.

Patrzył na mnie przy tym ze współczuciem. Chciał mnie zapewne pocieszyć. Wiedział przecież, jak bardzo kocham Gamę — i nie chcę, nie chcę jej tracić.

Lecz ja myślałam, że doktór powiedział mi prawdę. Beznadziejnie i zawsze wierzyłam wówczas, że wszystko, co mówią mi ludzie, jest prawdą.

I było to dla mnie źródłem pociechy. Może przecież Gama pozostanie jeszcze ze mną. Może przecież nie opuści mnie mój drogi, mój najwierniejszy przyjaciel.

I pocieszałam ją:

— Jeszcze nie rozstaniemy się teraz. Będziemy długo jeszcze razem, kochana, kochana moja.

Gama w odpowiedzi machnęła puszystą palmą ogona. Próbowała się nawet uśmiechnąć...

Lecz oczy jej się nie śmiały. Jej trwożne oczy wiedziały... Wiedziały więcej niż ja, która łudziłam się jeszcze...

Lecz milczała, nie chcąc mnie martwić.

Nie chciała jeść, piła tylko dużo.

I nieraz, gdy budziłam się w nocy i zapalałam światło, widziałam wpatrzone we mnie jej „ludzkie" oczy, bardzo duże w mizernej mordce, pełne ogromnej miłości i powagi — jak gdyby chciały zapamiętać mnie dobrze i zabrać ze sobą obraz mój w daleką, ciemną drogę...

Pewnego dnia — którego nie zapomnę — ujrzałam nieomylnie, że zbliża się koniec.

Gama, zawołana przeze mnie, wypełzła spod mego łóżka, pod którym się skryła, na chwiejnych nogach, które rozsuwały się na śliskiej posadzce.

Może chciała się tam schronić, aby umrzeć samotnie i widokiem swej śmierci nie sprawić mi bólu. — A ja wywołałam ją z jej kąta i nie dałam jej spełnić wielkiego bohaterstwa samozaparcia się, do którego nie byłby zdolny człowiek.

Pierwszą myślą moją było biec po ratunek do doktora.

Ubrawszy się, wybiegłam. Lecz zawróciłam w tej chwili, gdyż nagle przeszyła mnie jak błyskawica myśl dotkliwa, że tu ratunku już nie ma, a nie mogę ani chwili pozostawić Gamy samej. Nie mogłam znieść myśli, aby ona miała umrzeć beze mnie.

Uklękłam przy niej. Stała naprzeciw mnie, drżąc i chwiejąc się, a jej pociemniałe od smutku oczy wołały o ratunek.

Wzięłam ją na ręce i ułożyłam na mym łóżku.

Milczałam, gdyż miałam gardło ściśnięte aż do bólu — i nie mogłam oderwać wzroku od chudnącej w oczach mordeczki.

Trzymałam na kolanach bezsilną głowę o szerokim czole, w której żyły uparcie kochające, brązowe oczy.

Modliłam się bezradnie do Boga i ofiarowywałam Mu wszystko, co mogłam Mu dać w tej chwili, w zamian za życie Gamy.

Prosiłam, przedstawiałam i tłumaczyłam natrętnie i błagalnie.

Ale cóż można dać dość cennego w zamian za życie przyjaciela?

Bóg więc milczał — a Gama umierała cicho i nieodwołalnie.

...I Gama ujrzała, że mój targ z Bogiem nie doszedł do skutku — i że nie ma dla niej ratunku.

Wówczas jęknęła głośno — ona, która cierpiała dotychczas w zupełnym milczeniu, pełna godności i opanowania.

Był to jęk najgłębiej ludzki — jęk człowieka w świadomej, beznadziejnej walce z potworną krzywdą śmierci.

...I w tym ostatnim jęku skonało to, co było żywe, bliskie, radosne i dobre — i co mnie kochało naprawdę — co było „moją" Gamą...

Na rękach mych leżał mały zewłok, białym futrem okryty...

Mały, bezbronny zewłok, który zapłacił za życie najwyższą ceną: wielką miłością i wiedzą o śmierci — i tym kupił sobie duszę.

...Uczułam się nagle okrutnie sama.

MAŁY KATOTO

Nie wiem, jaki był, kiedy był mały — pamiętam go zawsze „wielkim".

I żal mi tych dni słonecznych, których nie widziałam... zwyczajnych i prostych dni jego dzieciństwa.

Mama opowie mi o nich. Mama lubi mówić o Katocie — a ja lubię jej słuchać.

Jestem na Raszyńskiej.

Zza okien dochodzi bełkotliwy gwar miasta, tryskającego w oślizgłe niebo neonami swych reklam, szarpanego wrzaskiem samochodowych trąbek i tłoczonego z góry warkotem samolotów.

Za oknami, daleko, szumi życie.

Lecz tutaj jest cicho.

Ciocia Józia, ruchliwa i pełna życia pomimo swych niekłamanie białych włosów, znikła, jak zwykle. Wsiąkła w Warszawę.

Nula wyszła również.

Jesteśmy same.

— Mamusiu, proszę mi wiele, wiele opowiedzieć o dzieciństwie Katota. Jaki był?... Właśnie, jaki był, kiedy był mały?

Mama uśmiecha się do mnie, pełna pogody na swym fotelu, którego nie opuszcza od długiego już czasu, a niebieskie oczy patrzą w zamyśleniu przed siebie... nie, poza siebie, daleko, w dzieciństwo Katota.

Gdy był malutki, nazywano go zwykle „Katoto".

Był pięknym dzieckiem, silnym i zdrowym, o wielkich, błękitnych oczach. Był bardzo żywy i dreptał nieumęczenie po domu, jak myszka. Grymasów miał niewiele i łagodny był bardzo.

Gniewał się tylko wówczas, gdy ukarano czasem Felcia. Obaj kochali się bowiem solidarnie i mocno.

Gdy zrezygnowanego Felcia usadzono „na pokucie", na małej walizce w kącie dziecinnego pokoju, Katoto przerywał zabawę i zasiadał nieruchomo obok braciszka, aby mu dotrzymywać towarzystwa.

Smutna twarzyczka niegrzecznego Felcia rozjaśniała się natychmiast i obaj szeptali z sobą w najlepszym porozumieniu i w różowych humorach.

Wreszcie zjawiła się łaskawa sprawiedliwość w postaci mamy — i uśmiechem wzruszenia obejmując obu malców uwalniała Felcia przed czasem od kary.

Gdy Felcio zażywać musiał niesmaczne lekarstwo, Katoto chciał je koniecznie zażywać z nim razem, aby Felciowi „nie było smutno".

Rodziców i rodzeństwo kochał ogromnie, zawsze przejęty ich radością lub troskami.

I los właśnie jemu kazał w dzieciństwie cierpieć najbardziej.

Pewnego dnia, biegając z innymi dziećmi po ogrodzie, upadł Katoto na ziemię i stłukł sobie mocno kolano.

Wówczas to zaczęła się jego długa, bolesna choroba, która ostatecznie zakończyła się operacją zrobioną świetnie przez sławnego chirurga z Moskwy, Sklefasowskiego.

(Ach tak, pamiętam małe, wzruszające kule... Widziałam je kiedyś na strychu w Tymoszówce.)

Po tej operacji Katoto wyzdrowiał zupełnie.

Przez kilka lat cierpiał jednak okrutnie. Chora nóżka bolała go czasem nieznośnie. I wówczas leżał w bezsenną

noc bez ruchu i zaciskał zęby, aby jękiem nie obudzić mamy, która z nim spała — a poduszka jego była mokra od łez.

Był on mamie tak bardzo bliski. Nie rozstawała się z nim wcale w ciągu jego choroby — i jakże płakała nieraz ukradkiem, patrząc na wychudłą, bólem ściągniętą twarzyczkę.

W ciągu tych kilku lat cierpiącej swej samotności Katoto przeżył zapewne i przemyślał wiele.

I może wówczas, w najgłębszym skupieniu sił duchowych, w cierpliwym, nad wiek wytrwałym opanowaniu, przyszło na niego objawienie. Przyszła nieunikniona konieczność tworzenia, która zawładnęła nim wszechwładnie i skazała na wieczną, twórczą samotność.

Dziś „wielki" Katot jest od nas daleko. Wędruje, jak zwykle, sam przez szeroki świat, witający z zachwytem i trwogą jego wyniosłą, trudną a prostą sztukę.

Lecz tutaj jest cicho.

Za oknami, daleko, szumi życie.

Obie z mamą siedzimy w milczeniu.

Mama ma oczy pełne łez.

...A w szarym, nijakim zmierzchu miejskiej wiosny świecą dwie dalekie gwiazdy dziecinnych, smutnych trochę oczu — i staje pomiędzy nami cień malutki w pracowitych, wydreptanych trzewiczkach i kratkowanym ubranku — mały Katoto...

FOTOGRAFIA

Przede mną leży mała, pożółkła fotografia tymoszowieckiego domu.

Jest to nieudolny, a tak miły produkt cierpliwego aparatu Stasi lub może cioci Heli.

Goniły nieraz za nami, prosząc, abyśmy im pozowali. Gdy dopadły swej ofiary, trzymały ją długo, z otwartymi szeroko oczyma, w torturze popołudniowego słońca.

Po tajemniczych kąpielach „w ciemni" — małym pokoiku przy spiżarni — i nieskończonym wystawianiu na słońcu leżących wszystkim na drodze ramek z odbitkami, fotografia niesiona była w triumfie do ofiary, którą przedstawiała.

Delikwent przyglądał się sobie w zadumie, dziwiąc się w duchu, skąd ten wyraz cierpienia na jego wesołej skądinąd twarzy i te ekstatycznie rozwarte źrenice męczennika wiedzionego na stos.

Tym miłym, drogim podobiznom brakło czasem nóg, a czasem głowy, fotografia bywała „niedokąpana", „za blado", lub „za ciemno" odbita.

Stąd bohaterzy grupowych fotografii falowali nieraz ponad ziemią, jak duchy na seansach spirytystycznych, lub, czarni i spaleni, wyglądali jak „ofiary z Messyny" — tak ich nazywał Katot.

Pamiętam jedną fotografię. Widziałam ją niedawno w pamiątkowym albumie Stasi.

Do jej autorstwa nie chce się nikt przyznać, a przedstawia ona grupę tymoszowieckich gości, stojących na mostku, na stawie. Obok w czółnie siedzi jeszcze parę osób.

Fotografia ta nosiła w swoim czasie ogólnie uznany tytuł: „Charon odwożący cienie do Hadesu".

Jest ona z serii „bladych" i wzniosłych. Znajduje się na niej kilka mglistych postaci, unoszących się w powietrzu na nierealnym mostku, jak bogowie Walhalli na łuku tęczy. Obok cień Fela-Charona złowił do swej widmowej łodzi kilka ofiar — i pilotuje łódź na falach Lety, a reszta duchów fruwa w eterze i umyka złośliwie skłopotanemu przewoźnikowi.

Toteż weseli mieszkańcy tymoszowieckiego dworu rozpraszali się, jak stado kuropatw przed jastrzębiem, gdy stawał pomiędzy nimi na swych trzech rachitycznych nogach groźny i tajemniczy, spowity w czarne zasłony aparat cioci Heli, lub gdy zbliżał się wesoły, wszędobylski kodaczek Stasi.

...A tymoszowiecki dom był wszędzie.

Na wszystkich czekał i wszystkich ogarniał spojrzeniem swych palących się zachodem okien.

Był bliski i niezbędny — i taki zwykły, jak woda i powietrze.

Stał cierpliwie, zawsze na miejscu — i zawsze gotów pozować.

I dlatego fotografowano go tak mało.

I oto teraz leży przede mną jedna jedyna fotografia tymoszowieckiego domu...

Tutaj okna cioci Myńci, mamy, moje i Katota.

Tutaj stara lipa i część klombu, na którym rosły maki, zapalające się, jak kolorowe lampy, we wschodzącym słońcu.

Fotografia jest porysowana tu i ówdzie i brzeg jej jest oderwany.

Jest trochę matowa i wyblakła — jak wspomnienie.

Tu z boku dwa małe, wilgotne ongiś ślady — jakby od łez...

Tak bardzo trzeba ją chronić od zniszczenia, bo jest jedyna.

Toteż dzielimy ją pomiędzy siebie i patrzymy na nią w milczeniu.

Leży w dużym pudle mamy i dajemy ją w ręce obcym ze drżeniem.

Patrzą na nią z grzecznym uznaniem. Nie imponuje im niczym. Jest zwyczajna, żółta i stara.

Ale cóż oni mogą wiedzieć o Tymoszówce?

Co mogą wiedzieć o naszym szczęściu?

Czy mogą wiedzieć, jak twarda była droga, po której odeszliśmy od umarłego domu w niepowrotną dal — unosząc z sobą jego wieczną słoneczność w małej, jedynej, wyblakłej fotografii o pożółkłych brzegach...

Spis rozdziałów

SPIS WYDAWNICTW SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „WIEDZA"

Anhalt M.	— Źródła postępu technicznego w kapitalizmie	zł 220.—
Boguszewska H.	— Nigdy nie zapomnę	„ 100.—
Boguszewska H.	— Całe życie Sabiny	„ 200.—
Boguszewska H. i Kornacki J.	— Ludzie śród ludzi	„ 100.—
„ „	— Polonez t. I	„ 200.—
„ „	— Polonez t. II	„ 300.—
Kornacki J.	— Polonez t. III	„ 320.—
Borwicz W.	— Ze śmiercią na ty	„ 100.—
Broniewski W.	— Krzyk ostateczny	„ 60.—
Dobrowolski St. R.	— Pióro na wichrze	„ 200.—
Dąbrowski J.	— Na zachód od Zanzibaru . .	„ 200.—
Dygat S.	— Jezioro Bodeńskie	„ 250.—
Elmer B.	— Winowajcy klęski wrześniowej	„ 100.—
Grossman L.	— Śmierć poety	„ 420.—
Grzywo-Dąbrowscy	— Okrucieństwo człowieka i okrucieństwa niemieckie .	„ 120.—
Hochfeld J.	— My socjaliści	„ 250.—
Jabłoński T.	— Krótki zarys historii PPS . .	„ 100.—
Jabłoński T	— Konstytucja Jugosłowiańska .	„ 80.—
Kwiatkowski E.	— Wczoraj, dziś i jutro Polski na morzu	„ 45.—
Małcużyński K.	— Norymberga — Niemcy 1946 r.	„ 250.—
Mill J. Stuart	— Autobiografia	„ 300.—
Mulak J.	— Wojsko podziemne	„ 150.—
Morstin L. H.	— Kłos panny	„ 400.—

Nałkowska Z.	— Niecierpliwi	zł 280.—
"	— Niedobra miłość	„ 250.—
Próchnik A.	— Demokracja Kościuszkowska .	„ 200.—
"	— Idee i ludzie	„ 280.—
"	— Ignacy Daszyński	„ 150.—
"	— Kim był Tadeusz Kościuszko	„ 25.—
Pruszyński K.	— Droga wiodła przez Narvik .	„ 250.—
Skalski M.	— Prawdy żywotne	„ 125.—
Szpilman Wł.	— Śmierć miasta	„ 300.—
Tarlé E.	— Napoleon	„ 500.—
Uniłowski Z.	— 20 lat życia	„ 350.—
Ważyk A.	— Antologia współczesnej poezji francuskiej	„ 450.—
Wojeński T.	— Historia literatury polskiej t. I	„ 250.—
"	— Historia literatury polskiej t. II	„ 300.—
Żeleński-Boy T.	— Nasi okupanci	„ 300.—
Żeromski T.	— Międzynarodówka straceńców	„ 60.—
Żuławski J.	— Na srebrnym globie	„ 380.—
Żywulska K.	— Przeżyłam Oświęcim	„ 250.—